Nr. 35. Poznań, niedziela 30-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Szabla Rakoczego.

(F). Szczera stal, ostra stal, długo brzęczała przy boku bohaterów, z blaskiem i siłą pioruna spadała na karki nieprzyjaciół, jaśniejąc przodowała w bojach o wolność i sumienie — dziś świat i ją zmuszą do kłamstwa... Car ofiarował szablę Rakoczego Węgrom przed swem przybyciem do Wiednia.

Gdyby krople krwi, które błyszczały na tej stali, w słowa się zmieniły, gdyby dłonie, w których się znajdowała, moc jeszcze miały, usłyszelibyśmy wspaniałą epopeję z życia ludów, zakończoną w duchu prawdziwego dekadentyzmu, t. j. wyrafinowanym upadkiem i zepsuciem. Opowiedziałyby nam o zmianie pokoleń i wieków, o przeobrażeniu się bohaterów — w przekupni.

W ręku Franciszka Rakoczego II-go była prawdziwym „mieczem bożym" na absolutyzm starej Austryi i fanatyzm reakcyi religijnej. Było to w roku 1703, zaledwie w cztery lata po wyzwoleniu się Węgier z pod przemocy Turcyi, rozpoczętem tak dzielnie przez odsiecz Sobieskiego. Dom Habsburgów objął panowanie i w krótkim czasie doprowadził do rozpaczy wszystkie warstwy ludności. Konstytucyę węgierską gwałcono, protestantów zaczęto przemocą nawracać i ciemiężyć. Wybuchło tedy powstanie nietylko magnatów, ale miast i wsi, prawdziwe powstanie narodowe. Wówczas wszystkie oczy madiarskie zwróciły się ku potomkowi książąt siedmiogrodzkich, ku Franciszkowi Rakoczemu. Do Polski, gdzie bawił jako zbieg z dworu wiedeńskiego, przybyła deputacya chłopów z północnych komitatów, a w r. 1705 zamianowano go głową skonfederowanych stanów. Wojna kilkuletnia, krwawa i powszechna, w której niemało też polskiej krwi się lało, ogniem objęła całe Węgry. Szabla Rakoczego cudów dokazywała dla wolności wiary i swobody narodu, twierdze oprzeć się jej nie mogły, wojska austryackie szły przed nią w rozsypkę. Nią dumnie podparł się wódz powstańczy, gdy sejm w Onod wyrzekł detronizacyę Habsburgów. Nią pobrzękiwał, nią wskazywał swej drużynie drogę, gdy zagrzany muzyką Anny Czinki, niesiony na skrzydłach pieśni, pierwszy wpadał w szeregi wrogów. A gdy go przemoc zgniotła, nie poniżył się, szabli nie poplamił; uniósł ją z sobą na dobrowolne wygnanie.

Wiek przeszło drzemała, a nie było dłoni, godnej jej dźwigania. W Węgrzech tryumfował absolutyzm, wyczerpany lud długo nie mógł myśleć o swej narodowości i konstytucyi — aż go Lajos Kossuth gromkim głosem swej wymowy, ogniem swego zapału, blaskiem swego pióra do wolności powołał. Wówczas obudziła się też szabla Rakoczego. Kraj cały był pożogą wojny zalany, marsz Rakoczego, jak ongi marsylianka, bohaterskie zapalał instynkty, a uniesiony dumą powodzenia, naród znowu wyrzekł detronizacyę Habsburgów, szedł ku tryumfowi ostatecznemu swej niepodległości. Szablica w najgodniejsze dostała się ręce, kobiety węgierskie ofiarowały ją jenerałowi Bemowi. I rzeczywiście, w całej galeryi ówczesnych bojowników trudno o postać wspanialszą. Żołnierz ten napoleoński, ktory w r. 1831 uratował honor polski pod Ostrołęką, w r. 1848—9 był piorunem rewolucyi, ze swoją artyleryą z miejscowości do miejscowości wpadał, niespodzianie raził wrogów, zdobył Siedmiogród i Banat, austryackie i rosyjskie pobijał szeregi. Szabla Rakoczego czysto i dumnie jaśniała przy jego boku, aż mu Moskale jej nie wydarli. Po krwawym boju temeszwarskim dostała się w ich ręce, pokonana lecz nie upokorzona; Bem ustąpił niezmiernej przemocy. Wraz z podartą kartą konstytucyi Węgier, z sztandarami walczących, morze krwi zostawiając i ponury zgrzyt szubienic, zabrali ją moskale do swoich skarbców.

Dzisiaj inne czasy... Węgrzy chęci zemsty nad Rosyą ze serc swoich nie wydrą. Polityk austryacki z nieufnością i trwogą na północnego spogląda sąsiada; ten nie zapomni Austryi jej roli z czasów krymskich. Wszystkie te trzy czynniki pełne są nienawiści ku sobie i obawy — mimo to patrzą na się z przyjaznym uśmiechem i wymieniają między sobą czułości i wizyty. Szczera, naga namiętność czasów dawnych ustąpiła hypokryzyi; bohaterstwo — kłamliwej dyplomacyi. — I jestto jej szczytem, gdy car przesyła Węgrom szablę Rakoczego i Bema.

Szabla ta dwa razy rozcinała węzeł, łączący Węgry z Austryą — czyżby car to chciał przypomnieć? Chciałbyż powiedzieć, iż zwraca symbol walki — żałując, iż jego przodek na korzyść Austryi a szkodę Rosyi ją rozstrzygnął? Sianie niezgody jest starem rzemiosłem dyplomacyi, ale w danym wypadku młody władca Północy takich celów może nie miał. Dar jego ma tylko Madiarów dobrze dlań usposobić, odegrać rólę prezentu przekupnia, celem nawiązania lepszych stosunków.

Myli się atoli dyplomacya i kłamią gazety urzędowe, przypuszczając, iż szablą tą car sobie serca podbił. Będzie ona spoczywać w Muzeum narodu węgierskiego, lecz jako przestroga, jako straż. Na horyzoncie ukazują się chmury, ale węgrzy są na burzę przygotowani. I gdyby znowu miał spaść jakiś zamach na ich narodowość albo kamień ucisku na swobodę sumienia, — wówczas na nowo zabłyśnie w krwi i słońcu szabla Rakoczego i Bema...

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Rozmowa z wyklętym księdzem.

„Dziennik Krakowski" podaje w nr. 194 interwiew jednego z współpracowników swoich z ks. Stojałowskim. Z artykułu poświęconego tej sprawie cytujemy ustęp następujący:

„— Przyjechałem do Cieszyna w niedzielę 23 b. m. — pisze nasz sprawozdawca — i po długich poszukiwaniach, przy pomocy listonoszów, odkryłem nareszcie jego mieszkanie. Wszedłem na drugie piętro i zapukałem do drzwi.

— Czy zastałem księdza redaktora?

— Tak jest, proszę wejść do drugiego pokoju.

Wszedłem. Włosiennicy nie miał na sobie, ani nie kupił jeszcze biletu do Kanossy. Siedział uśmiechnięty przy biurku i rozmawiał swobodnie z kilkoma chłopami. Przywitał mnie serdecznie i kazał siąść; przeprosił, że nie może zaraz mi służyć, bo musi wpierw załatwić kilka spraw chłopskich. Usiadłem i przyglądałem się tymczasem urządzeniu mieszkania. Skromniej chyba mieszkać nie można. Dwa małe pokoje, pierwszy podzielony przepierzeniem na kuchnię i sypialnię, w drugim wpada przedewszystkiem w oczy ołtarz, urządzony naprzeciw wejścia, w środku podłużny stół, przy oknie biurko do pisania, w jednym i drugim pokoju stosy książek i gazet, słowem, lokal redakcyjny obok prywatnej kapliczki i sypialni. Przy oknie siedzi ksiądz-redaktor i udziela posłuchania interesentom. Ubrany w nową sutannę z odznakami prałata, z twarzą bez rumieńców, o cerze woskowej, z uśmiechem na ustach, rysy i układ twarzy charakterystyczne tak, że bardzo łatwo je zapamiętać, oczy spoglądają niespokojnie, podejrzliwie, badawczo... Rozmawiał z chłopami. Jeden radził się, jak się ma zachowywać na zgromadzeniu wyborczem, drugi przyszedł z żoną, by pożalić się przed księdzem dobrodziejem nad swojemi nieszczęściami domowemi i dać na mszę świętą.

Przyszła w końcu na mnie kolej.

— Co? zapewne z kondolencyą pan? Chcesz mi wyrazić współczucie z powodu klątwy? Ależ panie, ktoby tam sobie z tego... co robił!

Ładny początek, pomyślałem sobie, dobitniej nie mógł chyba ksiądz-redaktor zaznaczyć, że „straszna klątwa" nie przygnębia go zanadto... Zaczętą rozmowę przerwało wezwanie do obiadu, na który zostałem uprzejmie zaproszony. Ksiądz-redaktor zmówił przed jedzeniem modlitwę, której wysłuchałem stojąc, poczem wzięliśmy się do spożywania skromnych darów bożych. Funkcye gospodyni spełniała redaktorka Niewiasty pani Helena Hempel, poważna matrona, z wyrazem cichej rezygnacyi czy melancholii na obliczu, która nie znikała i wtedy, gdy składały się do uśmiechu. Widocznie przeciwności losu dały jej się więcej we znaki, niż ks. Stojałowskiemu.

Przy stole nawiązaliśmy znowu poprzednią rozmowę.

Sposób wydania i ogłoszenia klątwy — prawił ks. Stojałowski — jest nielegalny pod każdym względem. Klątwy tej nie podpisał ani papież, ani który z kardynałów, lecz wyłącznie jakiś młody członek Manzini, który niema do tego prawa. Według ustaw kanonicznych oskarżyciel, świadek i sędzia nie mogą być jedną osobą; — tymczasem w tym wypadku tak jest: oskarżycielami, świadkami i sędziami są biskupi galicyjscy z ks. Puzyną na czele. Tekstu klątwy do dnia dzisiejszego nie doręczono mi wcale. Gdym usłyszał o klątwie, zaniepokoiłem się z początku, bo myślałem, że Bóg wie jakie misterne oskarżenie wysnuli pp. biskupi przeciw mnie. Gdy jednak przeczytałem tekst, musiałem się roześmiać. Oskarżają mnie tylko o polityczne sprawy, o nic więcej. Panowie biskupi wzięli się do tego bardzo plump — to ich zgubi. Cała intryga pochodzi stąd, że papież nie jest należycie poinformowany o sprawie, — bo tego nie chcą biskupi. Wyznaję takie zasady polityczne i społeczne, jakie są zawarte w encyklice papieskiej. Zresztą zrobiono całą sprawę bez żadnego sądu, bez przesłuchania mnie — a przecież z najgorszym zbrodniarzem inaczej postępują. Jestem gotów poddać się pod sąd, ale złożony z ludzi niezawisłych. którzy rozstrzygną sprawę. Do Rzymu nie pojadę, bo nie dopuszczą mnie do papieża. Chętnie odwołam wszystko, ale niech mi powiedzą. co mam odwołać! Tego nie potrafią nigdy powiedzieć. Gazetki wydawać będę nadal, nikt mnie nie zmusi do zaprzestania tego.

Zapytałem, co myśli teraz zrobić. — Wydam list otwarty do papieża — brzmiała odpowiedź — we wszystkich językach. W liście tym podam najpierw swoje wyznanie wiary, poczem przedstawię swoje przekonanie społeczne, tyczące się ograniczenia wpływu biskupów. Przedstawię także, jakie są nadużycia biskupów galicyjskich.

— A więc pracy swej nad ludem ks. redaktor nie porzuci?

— Oczywiście, że nie. Owszem teraz dopiero rozpocznie się walka na dobre. Głównem hasłem w tej walce będzie: precz z politycznym wpływem biskupów. Kościół traci na tem, jeżeli miesza się go do polityki, jak to czynią biskupi. Kościół powinien być instytucyą moralną, a nie polityczną.

Podczas naszej rozmowy siedział przy stole chłop z Milówki, który będąc w Cieszynie wstąpił do ks. St., aby go zobaczyć i pomówić z nim. Opowiedział nam w prostych słowach zwykłą chłopską historyę. Miał zapłacić 36 ct. i drobna ta kwota urosła dzięki sztuczkom biurokratycznym do 20 złr. Biedak żalił się, że niema sprawiedliwości i pytał, kiej też będzie biednemu narodowi lepiej... Stojałowski spojrzał na mnie z uśmiechem. „Widzę pierwszy raz w życiu tego chłopa; i kto tu podburza więcej, buntownik Stojałowski czy oni!"

Chłop tymczasem dalej wywodził swe żale i przyszedł w ciągu rozmowy na myśl, że biskupi źle robią, prześladując ks. redaktora. Potem dodał: tak samo jak arcykapłany prześladowali Chrystusa Pana.

Ksiądz Stojałowski się uśmiechnął...

Po obiedzie zaproponował mi gościnny gospodarz podróż do Karwiny na zgromadzenie przedwyborcze. Przystałem na to chętnie. W drodze w pociągu rozmawialiśmy o zbliżających się wyborach do rady państwa. Poglądy w tej mierze były następujące. Partye opozycyjne, t. j. socyaliści, radykali, ludowcy powinni iść razem przeciw szlachcie. Nieporozumień nie będzie, jeżeli będą się trzymać tej zasady, iż piąta kurya należy się robotnikom, zaś czwarta chłopom. O ludowcach wyrażał się dość pogardliwie, szczególnie śmieszył go ich program rzeszowski. Zapytałem, czy zamierza kandydować? Odpowiedział na to, że nie postanowił jeszcze nic w tej mierze, ale może ogłosi w którymś okręgu kandydaturę. W Krakowie będzie stanowczo popierał p. Daszyńskiego.

Wysiedliśmy z wagonu i udaliśmy się na zgromadzenie. Po drodze nie można było prawie odjąć ręki od kapelusza. Wszyscy cisnęli się, by ucałować rękę księdza redaktora. Tak witano tego, którego uznano jako vitandus. — Lud jakoś nie odstraszył się."

* * *

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

Prokurator wniósł oskarżenie. Pomimo ważności cytowanych faktów, nie zważają oskarżeni na jego wymowę. Spoglądają po sobie, a każdy stara się dać wyraz swym uczuciom jeżeli nie słowami, to znakami. W obecnej chwili byli tak szczęśliwi, jak gdyby zwycięstwo było już po ich stronie, choć tak wiele przeszli i tak ciężkiego obawiali się losu.

Prokurator był młodym człowiekiem, który chciał szybko zrobić karyerę. Jego wymowa była też wielką. Przeszło przez dwie godziny kreśli ponury obraz rewolucyjnego ruchu w Rosyi. Podzielił on oskarżonych na grupy, a w grupach tych wykazuje poddziały — wszystko to z taką śmiałością i szybkością, jak botanik klasyfikujący rośliny swojego zielnika. Przeciw każdej z tych kategoryi inne wnosi oskarżenie, ale najśmiertelniejsze strzały jego wymowy skierowane są przeciw pięciu oskarżonym. Z tych pięciu dwie były kobietami. Jedna z nich to młoda dziewczyna o bladej podłużnej twarzy i marzących szarych oczach: jestto córka wysokiego urzędnika przez towarzyszy zwana „świętą." Druga jest starszą, silniejszą, widocznie natury grubszej; jej szeroka, płaska twarz nie jest piękną, cechuje ją wyraz fanatyzmu i uporu.

Z mężczyzn jeden jest robotnikiem o inteligentnym wyglądzie; drugi nauczycielem ludowym z widocznemi oznakami suchot galopujących, trzeci student medycyny, żydowskiego pochodzenia, Pawlenkow. Ten szczególnie wywołuje nienawiść i oburzenie prokuratora.

Gdy mowa o Pawlenkowie, nie może prokurator wstrzymać swego gniewu, przedstawia go jak wcielonego Mefistofelesa. Wszyscy zresztą oskarżeni są bezwątpienia nadzwyczaj szkodliwymi ludźmi. Władza ma obowiązek postarać się o ich usunięcie ze względu na bezpieczeństwo całego społeczeństwa, ale w nich należy uwzględnić okoliczności łagodzące. Jakkolwiek nierozsądnymi są propagowane teorye — wszyscy oskarżeni wierzą w nie, o Pawlenkowie tylko tego powiedzieć nie można.

Dla niego jest propaganda rewolucyjna tylko środkiem do wzniesienia się i strącenia innych w błoto. Natura obdarzyła go nadzwyczajnym rozumem, on używa tego daru jedynie po to, by wtrącić siebie i drugich w przepaść. Idąc za przykładem francuskich kolegów, kreśli prokurator życie Pawlenkowa od najpierwszej młodości. Przedstawił oskarżonego jako ambitnego młodzieńca, syna rodziców nie zasługujących na żaden szacunek. Dla nich żadne moralne zasady nie istniały, a ponieważ ich sami nie mieli, nie mogli nic dobrego wszczepić w serca dzieci i zwalczyć ich złych instynktów.

Bogaty żyd, kupiec, uderzony inteligencyą młodego Samuela, oddaje go do szkół. Samuel uczy się pilnie z dobrym skutkiem, ale studya nie rozwijają w nim uczuć moralnych. Dostał świadectwo dojrzałości i zapisał się na medycynę. Dla biednego, żydowskiego chłopca, którego bracia i siostry dotąd jeszcze biegały boso i w łachmanach, było to rzeczywiście powodzenie nieoczekiwane. Ale zamiast podziękować Bogu i swemu dobroczyńcy, rozwija Pawlenkow w sobie to uczucie, które ubóstwo i poniżenie obudziły w nim. Czuje on coraz większą nieposkromioną nienawiść do tych, którzy stoją po nad nim; swego rozumu i swych zdolności używa tylko na to, aby wywierać zgubny wpływ na kolegów, należących do lepszych rodzin. Zajęty jest tylko jedną myślą: jak ich pozyskać dla swoich występnych zamiarów.

I tak dalej mówił prokurator. Zakończył swą mowę prośbą, aby prześwietny sąd do Pawlenkowa zastósował całą surowość. Nad takim przestępcą, jak on — nie należy mieć litości.

Gdy tak prokurator przemawiał przeciw oskarżonemu, przyglądałem się uważnie

Polacy na obczyźnie.

Wychodzący w Bochum „W i a r u s p o l s k i“ zamieszcza w jednym z ostatnich numerów uwagi następujące:

„Ilu nas na obczyźnie, pytał się już niejeden, ale prawdę powiedziawszy, to dokładnie liczby wychodźców polskich w prowincyach niemieckich oznaczyć nie można. Sama Westfalia i Nadrenia ma ich kilkadziesiąt tysięcy. Liczni są też Rodacy nasi tułający się po Saksonii, Hanowerskiem, Brunświckiem itd., oraz mieszkający w Berlinie i tegoż okolicy. Pewna część wychodźców bawi na obczyźnie z rodzinami, inni pozostawili rodziny w Polsce, dokąd od czasu do czasu zaglądają, dużo jest takich, co zimę przepędzają na obczyźnie, a lato w domu, a są to głównie tacy, co w Polsce mają kawałek roli. Liczne też tysiące ludu polskiego wychodzą wiosną na obczyznę, zostają tam przez mniej więcej osm miesięcy, a na zimę wracają pod ojczystą strzechę. Największą liczbę wychodźców stanowi młodzież, tak między Polakami Westfalii, jak i między wychodźcami do innych zakątków Niemiec.

Różnie wiedzie się wśród obcych naszej wielotysięcznej braci. Za dalekoby nas to zaprowadziło, gdybyśmy opisywać chcieli wszystkie dobre i złe strony wychodźtwa, gdybyśmy opowiadać mieli o pracy rodaków, o ich sposobie życia, troskach i mozołach, o ich zabiegach w kierunku utrzymania wiary św. i narodowości itd. itd.

Dziś chcielibyśmy zwrócić uwagę na jedne głównie rzecz. Oto niejeden z rodaków przez dłuższe lata bawi na obczyźnie, żyjąc przytem oszczędnie, zaoszczędza sobie trochę grosza i radby wrócił do Polski, by osiąść na własnym kawałku roli, założyć warsztat lub kramik jaki. Rodak taki nie ma jednak często znajomości w Polsce, a nie chętnie porzuciłby pracę i na chybił trafił jechał do stron rodzinnych. Zdaje się, że byłoby rzeczą pożądaną i bardzo chwalebną, gdyby się takim rodakom przyszło z pomocą. Chcąc w tym kierunku coś korzystnego zdziałać, trzeba się koniecznie starać o większą, niż dotąd, ł ą c z n o ś ć w y c h o d ź t w a z k r a j e m, który to związek pod niejednym względem obu stronom przynieść rozmaite mógłby korzyści.

Trudno nie przyznać, że na obczyźnie wielkie grozi Polakom niebezpieczeństwo utraty wiary i języka ojców. Z tego względu praca, zdążająca do ułatwienia rodakom powrotu do Polski, by tamże zdobyć byt niezależny tem więcej staje się konieczną. Wynikłaby z tego i ta korzyść, że wśród Polaków rozbudziłby się więcej z m y s ł o s z c z ę d n o ś c i.

Wiemy dobrze, że zarobki spadły tak nisko, że posiadając liczną nieraz rodzinę, podziśdzień robotnik i tu jest kontent, jeżeli zarobek starczy mu na utrzymanie jego i rodziny. Pisząc o oszczędności mamy tu głównie na myśli młodzież naszą, która mogłaby rzeczywiście więcej oszczędzać, niż się się to dotąd dzieje. Trzeba pamiętać o przyszłości. Praca w kopalniach i po fabrykach jest bardzo uciążliwa, więcej wyczerpuje siły, niż praca na świeżem powietrzu, pomimo iż tu robotnik się lepiej odżywia, niż mógł to czynić w domu. Ludzie, pracujący w niezdrowem powietrzu w podziemiach kopalń węgla, lub w fabrykach, hutach i koksowniach, nie są w stanie przeciętiowo dłużej pracować jak 20 lat, co przez statystykę zostało udowodnione. Z tego względu nie tylko starsi, ale szczególnie też młodzież nasza, idąc na obczyznę, przejąć się winna myślą, że pobyt wśród obcych ma być tylko czasowy, każdy Polak, zmuszony udać się na obczyznę, powinien iść tam z mocnem przedsięwzięciem p o w r o t u d o P o l s k i, skoro tylko stosunki na to pozwolą.“

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

Osadnicy kierują się tą myślą, że jeżeli z jednej strony biedniejsze klasy ludności potrzebują pomocy bogatszych, to z drugiej strony prawdziwem dobrodziejstwem jest dać bogaczowi możność do wyjścia po za obręb jego samolubnego życia. Twierdzą oni, że życie klas bogatszych nie jest szczęśliwsze, niż ubogich — tylko że nieszczęście u nich wypływa z przesytu, podczas gdy u ubogich powstaje ono z niedostatku. To też osada stara się stanąć po za klasami i przedstawiać teren, na którym osobniki klas różnych mogą się schodzić i poznawać wzajemnie. Wskutek odrębnego życia klas poszczególnych człowiek bogaty, zdaniem osadników, ma do czynienia z cyframi, a nie z ludźmi. Fakt ten wyrabia w nim brak współczucia dla klas biedniejszych. Otóż osada ma za zadanie przeciwdziałać temu przez zmuszenie bogatszej klasy do zapoznania się osobistego z ludem i wniknięcia duchowego w jego życie i potrzeby. Z naszej strony chcielibyśmy do teoryi tych dodać uwagę, że są one w Ameryce łatwiejsze do wykonania, niż w Europie — z tego względu, że przeszłość amerykańska nie miała jeszcze dotychczas klasowych powstań i rewolucyi. Ztąd też nie ma w Ameryce takiego zaostrzenia stosunków, jak w innych starszych krajach.

Ażeby uskutecznić zbliżenie się towarzyskie między ludźmi i rozwijać przez to obyczajową kulturę i altruistyczne uczucia, osadnicy urządzają bardzo często — trzy lub cztery razy tygodniowo — towarzyskie zebrania, znane w Ameryce pod imieniem

---

twarzy Pawlenkowa. Pod pewnym względem była jego powierzchowność bardziej interesująca niż powierzchowność jego towarzyszy. Zdawał się starszym wiekiem i doświadczeniem. Na jego twarzy nie można było dostrzedz ani śladu owej dziecięcej naiwności, widocznej na twarzach innych oskarżonych. Był brunetem, miał ostre żydowskie rysy. Oczy jego uderzały pięknością, ale gorzki sarkastyczny uśmiech, trochę zmysłowy — szpecił jego usta. Jego czerwone grube wargi stanowiły niemiły kontrast z górną częścią jego twarzy, napiętnowanej wyrazem szlachetności. Drganie muszkułów twarzy i szybkie ruchy rękami świadczyły o jego nerwowości; on jedyny nie okazał najmniejszej radości przy zetknięciu się z towarzyszami, jego też nie ścigało żadne zwilżone łzą spojrzenie. Pawlenkow słuchał uważnie mowy prokuratora i od czasu do czasu notował coś na wąskich skrawkach papieru. Żadna z tych uwag nie wyprowadziła go z równowagi i gdyby nie te lekkie nerwowe drgania, przebiegające od czasu do czasu po jego twarzy, możnaby go wziąć za obojętnego, chociaż uważnego słuchacza, któremu osobiście nie zależało bynajmniej na przebiegu całej sprawy.

Po mowie prokuratora nastąpiła półtoragodzinna pauza; wszyscy opuścili salę sądową. Senatorowie i adwokaci pobiegli na śniadanie, publiczność rozeszła się po bliskich restauracyach. Posiedzenie otwarto znowu, teraz nastąpiła kolej na adwokatów. Nie jest to łatwa rzecz być obrońcą w procesie politycznym. W rzeczy samej jest taki proces wybornym środkiem do wsławienia się; z drugiej strony niech tylko adwokat okaże przytem nieco zapału lub sympatyi dla oskarżonych, staje się zaraz podejrzanym. Wielu pamięta, że po wymownej obronie nastąpiło razu jednego zesłanie adwokata.

Jednak można to przyznać na chwałę adwokatów, że znajdowali się zawsze między nimi ludzie wielkoduszni, którzy ofiarowali swoje usługi oskarżonym nawet zupełnie bezinteresownie. I w tym wypadku było taksamo i teraz znaleźli sie ludzie, którzy podjęli na siebie chętnie ten niewdzięczny i odpowiedzialności pełen obowiązek. Nie wpadło im zupełnie na myśl bronić klientów swych i zaprzeczać, że należeli do rewolucyjnej agitacyi. Zadowolnili się oni tylko wyświetleniem motywów ich działalności, starali się je w najlepszem okazać świetle, rozwijali śmiałe teorye i nierzadko pozwolili sobie na wyrażenia, które w żadnym innym procesie nie usłyby. Przewodniczący usiłował często powstrzymać ich w tych wywodach, ale wszelkie jego usiłowania były bezskuteczne. Zaraz potem mówili obrońcy tak, jak przedtem i wypowiadali jeszcze śmielsze i jeszcze dalej idące idee. Sympatye publiczności dla oskarżonych wzrastały. Osoby z lepszego towarzystwa, które ciekawość tu przygnała słuchały z osłupieniem rzeczy, które im nigdy przez myśl nie przeszły: ich umysł w tym kierunku był mało wyćwiczony. Podobnie jak Wiera uważała socyalizm za jedyny środek rozwiązania wszelkich kwestyi — myśleli tamci, że wszystkie teorye nihilistów są szaleństwem. Teraz poznawali ich ideje i widzieli, że ci straszni nihiliści nie byli wcale tak dziwacznemi stworzeniami, jak sobie to wyobrażali, lecz że w przeważnej części byli to ludzie nieszczęśliwi, pracujący z zupełnem zaparciem się siebie. Przed oczyma ich otwierał się nowy świat i nie wiedzieli z jakiemi uczuciami mają się odnosić do oskarżonych. Teraz nie było ani śladu z ich poprzedniego sarkazmu i nieufności; sympatya ich tak się wzmogła, że chwilę jeszcze, a zamieniłaby się w entuzyazm. Tylko sędziowie okazywali zwykłą obojętność; zręczni adwokaci mało ich wzruszali, otrzymali już przedtem swoje instrukcye, i już wiedzieli naprzód jaki wyrok wydać mają, tylko wielkie znużenie widać było na ich twarzach.

Kiedy się to skończy?

Wieczór zapada, przewodniczący zamknął posiedzenie; drugiego dnia rozprawa przeciągnęła się późno w noc.

I tak dzień za dniem trwa przez cały tydzień. Zajęcie się publiczności nie słabnie, owszem wzrasta widocznie.

Do najświetniejszych mów obronnych zaliczyć można mowę Pawlenkowa. I jemu nie odmówiono adwokata, ale on postanowił skorzystać z pozwolenia i bronić się sam. Pod technicznym względem była mo-

„reception“. W tym celu zapraszają jakiś klub i wszelkie osoby, które klubowcy zechcą ze sobą przyprowadzić, a oprócz tego jednostki postronne, mniej lub więcej zainteresowane sprawą tego klubu, ażeby wspólnie spędzić parę godzin wieczornych lub poobiednich. Godziny te zapełnione są rozmową, czasami muzyką, czasami zaś dyskusyą odnoszącą się do jakiej sprawy na dobie. Po wspólnem wypiciu filiżanki kawy rozchodzą się zebrani do domów. W ten sposób życie towarzyskie osady obejmuje pomału coraz większe koła i zbliża i łączy ludzi. Wpływ życia towarzyskiego jest u nas wogóle zbyt nisko ceniony. Nie zwracamy uwagi na wielką doniosłość tego faktu, że po miastach nieraz żyją ludzie po lat kilka lub kilkanaście obok siebie, nie znając się między sobą. Człowiek przepędza życie izolowany, pozostając obcym nawet dla bliższego swego otoczenia. A przecież fakt ten ma niezaprzeczenie wielkie znaczenie dla ustroju duchowego a nawet materyalnego stanowiska „samotników“. Nie mówimy już o potrzebie nieraz nagłej pomocy lub wsparcia, któreby uratowało życie niejednej rodziny, będąc jej podanem w porę, ale pod względem moralnym człowiek przeciętny cierpi wiele, czując się odosobnionym; jeżeli zaś nawet nie odczuwa potrzeby wyjścia z tego stanu rzeczy, to wyrabia się w nim nieżyczliwość i oschłość uczucia w stosunkach ze wszystkimi ludźmi, którzy nie są bezpośrednio związani z jego własnym losem.

Dla lepszego zrozumienia wpływów życia towarzyskiego na duszę ludzką, przedstawmy sobie coby się stało np. z naszem obywatelstwem wiejskiem, gdyby mu odjęto stosunki towarzyskie. Nie mając w większości wypadków wyższego nad średnie wykształcenia, ludzie ci zgnuśnieliby w uczuciach i wróciliby do stanu kulturnego naszych bogatszych chłopów. Wiele stron życia duchowego wyrasta jedynie na podstawie towarzyskości. W samotnej celi więziennej nawet zajmowanie się czystą nauką jest niemożliwością. Ten sam duch humanitaryzmu i kultury przenika osadę w jej staraniach co do rozpowszechnienia zamiłowania w sztukach pięknych. Już urządzenie całej osady jest przeniknięte tym duchem. Osadnicy starają się, ażeby wygląd ich domu był estetyczny na wewnątrz i jeżeli to jest możebnem, na zewnątrz. Stosując się do amerykańskiego zwyczaju ubierania mieszkań obrazami, pokrywają oni ściany pięknemi fotografiami lub kolorowanemi reprodukcyami z dzieł mistrzów. Przytem uwaga jest ogromnie zwróconą na dobór kolorów. Nawet papier, którym ściany są oklejone, dobiera się bardzo starannie. Kolorowane obrazy uznawane są tylko wtedy, jeżeli farby są rzeczywiście harmonijne i nie mają w sobie nic gminnego. Całe serye obrazów, zwykle w bardzo prostych oprawach, są wypożyczone kolejno po wszystkich domach w okolicy. Obrazy te zostają w jednym domu po parę miesięcy, następnie przechodzą do drugiego, trzeciego itd. Nieraz ludzie znajdują w nich tanie upodobanie, że zapisują je sobie, naturalnie za pośrednictwem osad, z Włoch lub Francyi. Celem osady jest, ażeby nadać wszystkim mieszkaniom pozór o ile możności estetyczny. Idea rozprzestrzenienia sztuki wśród ludu przywędrowała do Ameryki z wielu innemi ideami z Anglii za pośrednictwem dzieł Roskin'a. Znakomity ten publicysta zauważył różnicę rozwoju estetycznego wśród ludu angielskiego i włoskiego i sądził, że różnica ta właśnie jest powodem większego rozkwitu sztuki we Włoszech niż w innych krajach. Amerykanie, jako niezmiernie patryotyczny naród, nie mogąc znieść swej niższości pod względem sztuk pięknych w porównaniu z innemi narodami — gorąco wzięli do serca tę sprawę. Chociaż ruch obecny trwa zaledwie lat kilka, nieraz zdumiewa rezultatami swojemi. Tak np. nauczyciele szkół ludowych nieraz rozprawiają o Boticellim, Fra Angelico, Del Sarte etc., nie mówiąc już o Rafaelu albo Michale. Nauczycielki ogródków dziecinnych mają nieraz śliczne kolekcye fotografii z włoskich galeryi itp.

Jednym z najdodatniejszych czynników rozpowszechniania wykształcenia artystycznego są lekcye publiczne z demonstracyami, urządzane w osadach albo nawet w galeryach miejskich. Nauczyciel albo nauczycielka przedstawia szereg obrazów wypożyczonych od właścicieli specyalnie w tym celu, tłumaczy i zwraca uwagę na to, co w nich jest pięknego, wykazuje różnice ich stylu i wykonania i objaśnia ideę artysty. Drugim podobnym środkiem są wystawy obrazów, urządzane raz do roku w przeciągu miesiąca po osadach. Najlepiej jest na wystawie takiej umieszczać na początek obrazy treści dramatycznej i portrety, gdyż lud to najwięcej rozumie i najbardziej ceni, — powoli zaś można przejść do innych obrazów. Bezwarunkowo jednak obrazy muszą być dobre: przekonano się bowiem, że błędnem jest rozpoczynać w sztuce od rzeczy pośledních. Wstęp na wystawę jest zwykle bezpłatny. Niewielka suma pieniędzy, potrzebna na ubezpieczenie obrazów i ich przewóz, zbiera się zwykle z małych opłat za parę lekcyi o sztuce, urządzanych poprzednio. Mieszkańcy okolicy okazują wiele zamiłowania do wystaw i nieraz liczba zwiedzających wynosi 5—6 tysięcy.

Drugą sztuką piękną, grającą większą rolę w życiu osady, jest muzyka. Każda osada stara się o utworzenie chórów śpiewackich w okolicy, w której przebywa. Z tego też powodu przynajmniej jeden z osadników musi być wykształconym muzycznie. Chóry są dwojakie: dzieci i osób dorosłych. Rozwijają się one przy umiejętnem prowadzeniu bardzo szybko. W jednej z nowozałożonych osad w przeciągu roku urządzono chór dziecięcy, złożony ze 120 i chór dorosłych złożony ze 150 osób. Chóry takie zwykle już po kilku miesiącach nauki są w stanie urządzić koncert publiczny, na który zbiega się masa okolicznej ludności. Czasami chóry z rozmaitych części miasta łączą się z sobą i dają większe koncerty. Ponieważ zaś agitacya w celu rozszerzenia zamiłowania do muzyki i śpiewu w Ameryce jest bardzo silną, więc nawet niezależnie od osad tworzy się dużo towarzystw śpiewackich.

Lepsze chóry, złożone z wykształceńszej muzykalnie publiczności uważają za moralny obowiązek śpiewać od czasu w uboższych dzielnicach, aby służyć za wzór mniej wykształconym stowarzyszeniom. Podczas gdy najlepszy z miejskich chórów śpiewa oratorya Hendla i Mendelsohna, chóry począt-

---

wa jego bez porównania gorszą, niż mowy adwokatów, ale szczególną siłę i znaczenie miała ona z powodu swej prostoty i niekunsztowności. Zakończył ją temi słowy:

„Pan prokurator powiedział państwu, że jestem biednym, nędznym żydem i powiedział prawdę; dlatego właśnie, że znam ubóstwo i pochodzę z tego pogardzonego plemienia, współczuję tym wszystkim, którzy cierpią i walczą. Gdy zobaczyłem, że niemożliwem było dojść do celu zwykłemi środkami, postanowiłem uciec się do ostateczności, nie rozmyślając nad tem, czy to jest prawnie, czy nie. Pan prokurator powiedział państwu, że z powodu mego ubóstwa powinienem być surowiej ukarany niż inny, niech i tak będzie, niech zrobią ze mną, co on chce, nie będę prosił o litość, należę bowiem do tego plemienia, które przywykło cierpieć i znosić.“

Po rozprawie oddalili się sędziowie w celu wydania wyroku. Publiczność została w sali. Po dwóch godzinach powrócili sędziowie, a przewodniczący odczytał wyrok cicho i uroczyście. Trwało to około godziny. Większość została zesłaną na Sybir, albo w głąb Rosyi, tylko owi pięciu zostali skazani na katorgi od 5 do 20 lat. Jak się można domyślić, został Pawlenkow ukarany najsurowiej.

W kołach rządowych uważano ten wyrok za pobłażliwy — wszyscy oczekiwali czegoś surowszego. Ale publiczność zebrana w sali, była innego mniemania, uważała ona ten wyrok za ciężki i niespodziewany cios. Cały tydzień żyła ona razem z oskarżonymi, poznała każdego z nich osobiście, znała ich przeszłość, trudno też było pozostać obojętnym na ich los. Po odczytaniu wyroku nastąpiła w sali wielka cisza, tu i owdzie tylko łkaniem przerywana.

Mimowoli spojrzałam na Wierę. Stała i trzymała się silnie poręczy, była blada jak płótno, jej szeroko rozwarte oczy miały ów zdziwiony, prawie ekstatyczny wyraz jaki spostrzegać się zdaje na twarzach męczenników.

Tłum rozchodził się zwolna, milcząc.

Na dworze była wiosna, z dachów ściekała woda i płynęła chodnikiem. Czyste, świeże powietrze przepełniało atmosferę. Wszystko, co w ostatnich dniach przeżyli, zdawało się ciężką zmorą i trudno było uwierzyć w rzeczywistość tego, co się stało. Jak we mgle ukazywały się zarysy twarzy owych dwunastu słabych starców, którzy już dawno wszystkich rozkoszy życia użyli, a teraz ze spokojem i zadowoleniem wypowiadali wyrok, który kosił kłosy szczęścia i radości 75-ciu ludzkich istot. To mogło się tylko wydawać ironią.

* * *

X.

Kilka tygodni minęło. Wiera nie pokazywała się i nie dawała znaku życia; przedsięwzięłam sobie, że ją odwiedzę, ale nie mogłam tego uskutecznić.

Było to z końcem maja, miałam gości na obiedzie, gdy nagle drzwi się otwarły i weszła Wiera, ale jak zmieniona!

Całą zimę nosiła czarną niezgrabną suknię, habit zakonny, jak to nazywałam żartem, a dziś zjawiła się w jasno niebieskim modnym kostyumie, przepasana srebrnym kaukazkim paskiem. W tej sukni było jej bardzo do twarzy, wydawała się młodszą o lat sześć. Ale nie od sukni zależało to, wyglądała promiennie, tryumfująco, na twarzy rumieniec, szafirowe oczy błyszczały, sypiąc iskry. Wiedziałam, że Wiera jest piękną, ale że taką pięknością jest, tego nie przypuszczałam.

Większa część mych gości widziała ją po raz pierwszy, jej wejście sprawiło sensacyą. Nietylko panowie, panie także zostały uderzone jej pięknością. Ledwie usiadła, otoczono ją.

Dawniej, gdy Wiera przyszła niespodzianie i spotkała u mnie kogoś, usuwała się natychmiast w najodleglejszy kącik i nie można było ani słowa z niej wydobyć. Nieśmiała z natury, uciekała instynktownie przed każdym nowem człowiekiem, szczególnie jeżeli przypuszczała, że nie znajdzie u niego sympatyi dla swych idei. Dziś jednak było

kujące poprzestają na hymnach narodowych i łatwych piosenkach.

Po za obrębem chórów udzielane są lekcye muzyki za umiarkowaną cenę. W niedziele zaś po południu urządzonym bywa zwykle koncert bezpłatny, złożony z dzieł należących do wyższej muzyki. Nieraz najlepsi miejscy artyści biorą udział w tanich koncertach. Publiczności zwykle nie podoba się z początku poważny charakter muzyki, ale pomału przywykają do niej i zaczynają ją lubić. Koncerta te wywierają wielki wpływ na okolicę. Pisząca te słowa słyszała na własne uszy śpiew „Jerusalem“ z Tanhäusera, wygrany na skrzypcach przez młodego robotnika litewskiego, przybyłego przed paru laty do Ameryki. Nauczył się go słysząc ten utwór śpiewany kilka razy na koncercie w osadzie. Koncerty bywają przeplatane deklamacyą i jeden z osadników przed każdą częścią programu tłumaczy w krótkich słowach charakter rzeczy, mającej być wykonaną.

Amatorów do uczenia się muzyki i śpiewu jest bardzo wiele. Ciekawym przyczynkiem do psychologii ludu jest ten fakt, że wszyscy pragną przedewszystkiem rzeczy, mających wartość zewnętrzną. Tak np. nie można nastarczyć nauczycieli dla ludzi pragnących uczyć się elokwencyi, retoryki, tańców, muzyki i gimnastyki i o ile się zdaje specyalnie amerykańskiej nauki nazwanej „Del Sarte“ i polegającej na zdobyciu pięknego układu i dobrych ruchów. Z naszego krajowego punktu widzenia wyda się to niejednemu zabawnem. Bądź co bądź jednak nie można odmówić racyi bytu i tego rodzaju nauce. A kto wie, czy nie jest to nawet własciwa droga do zdobycia wyższych stopni kulturnego rozwoju. Wszak już filozof niemiecki powiedział, że w pedagogice zewnętrzna forma stwarza wewnętrzną.

Pomimo kładzenia nań wielkiego nacisku na inne formy kulturnego życia, osada nie wyrzeka się i nauki w ścisłem słowa tego znaczeniu. Za małą opłatą urządzają się zbiorowe lekcye wszystkich przedmiotów, wchodzących w skład wychowania, nie wyłączając obcych języków i rysunku. Oprócz tego raz lub dwa tygodniowo wieczorami odbywają się w osadzie wykłady, należące do ludowego uniwersytetu, o którym będzie mowa poniżej. W osadzie zwykle znajduje się biblioteka, z której wypożyczają się książki. Oprócz tego urządzają się niewielkie klatki — rodzaj pudełek, mieszczących po jakie 50 tomów starannie dobranej lektury. Biblioteczki takie krążą pod imieniem „wędrujących bibliotek“ po całej okolicy. Zwykle jedna osoba w pewnej miejscowości podejmuje się wziąć biblioteczkę do domu i wypożyczac książki sąsiadom. Kiedy już wszystkie zostały odczytane, odsyła się biblioteczkę w inne miejsce, a bierze się do domu drugą. Jest to jeden z najekonomiczniejszych środków dostarczenia książek danej okolicy. Sposób ten ma przytem tę zaletę, że książki same przychodzą do domów i ludziom pozostaje tylko je przeczytać.

Jeżeli osada rozporządza odpowiedniemi środkami, to zakłada u siebie wanny publiczne i tanią hygieniczną kuchnią. To ostatnie nawet jako interes zwykle dobrze się opłaca. W każdej zaś osadzie jest udzielaną w pewnych godzinach darmo pomoc lekarska. Niektóre osady mają domy letnie, w których urządzają letnie kolonie dla chorych i dzieci, w rodzaju tych, jakie mamy u nas w kraju.

Mniemam, że to co powiedziałam dotychczas o osadach, daje czytelnikom mniej więcej jasny obraz ich działalności. Pozostaje mi jeszcze dodać parę słów o organizacyi samejże osady. Kierunek całej instytucyi spoczywa w rękach naczelnego prezydenta albo prezydentki osady, gdyż w Ameryce bardzo wiele kobiet poświęca się sprawie osad. Taki zawiadowca ma do pomocy kilku lub w miarę potrzeb kilkunastu kierowników, zwykle osób bardzo szanownych, mających liczne stosunki i traktowanych przez całe społeczeństwo amerykańskie z największemi względami. Nadto dojeżdża do osady masa postronnych osób, chcących dołożyć swoją cegiełkę do dobra ogólnego bez poświęconego na to całego czasu. Tak więc jeden przyjeżdża na wykład gimnastyki, drugi dla wygłoszenia odczytu publicznego, trzeci by urządzić przyjęcie dla danego klubu itd. Wogóle osadnicy trzymają się tej zasady, ażeby każdy zajmował się tem, co najbardziej odpowiada jego usposobieniu. Unikają oni przedewszystkiem rutyny i szablonu, twierdząc, że w tym razie każda instytucya traci swą żywotność.

Chociaż oddzielne osady mają często wspólne kongresy, na których obradują nad ogólnemi kwestyami, jednak nie mają one wspólnego regulaminu. Każda osada robi to, do czego jej członkowie okazują największej zdolności. i czego najbardziej wymaga dana okolica. Jako przykład służyć może stosunek osad do instytucyi kościelnych. Tam gdzie ludność jest bardziej jednolitą pod względem religijnym i jest bardziej nabożną, osadnicy łączą się w swojej pracy z instytucyami klerykalnemi. Gdzie zaś panuje różnorodność wyznań lub religijny indyferentyzm, osada funkcyonuje zupełnie niezależnie od kościoła. Osadnik nie jest obowiązany poświęcić całego życia sprawom osady. Wielu kierowników przebywa zaledwie po kilka miesięcy w osadzie, ustępując miejsce innym. Pożądaną jest jednak rzeczą, ażeby główny prezydent utrzymywał się dłuższy czas na swem stanowisku.

Jako przykład osady służyć może Hull-House, znajdujący się w Chicago i uważany za jedne z najlepszych instytucyi tego rodzaju w Ameryce. Hull-House istnieje już obecnie sześć lat.

Założyły go dwie kobiety, rozpoczynając od małego ogródka dziecinnego. Obecnie instytucya ta mieści się w ogromnej kamienicy i kilku przyległych domach. Znajdują się tam mieszkania dla kilkunastu rezydentów osady, kilka sal dla przyjmowania odwiedzających i interesentów, biblioteka i niewielka wypożyczalnia książek, ogródek dziecinny, ochronka dla dzieci, duża sala do koncertów i śpiewow chóralnych, druga mniejsza do wystawy obrazów, sala do modelowania i nauki rysunku, pokoje wynajęte przez kluby męzkie, pokój dla specyalnego użytku włochów — (ponieważ okolica ta jest zamieszkaną głównie przez robotników włoskich), sala do gimnastyki z pryśnicami i wannami, bezpłatna poliklinika itd. W bliskości H.-H. znajduje się klub kooperacyjny dziewcząt, zajmujący duży dom i takiż klub męzki, mieszczący się w nieco mniejszym domu. Członkowie tych klubów wybierają administracyę i żyją za wspólne pieniądze

---

inaczej, była uprzejmą, rozkoszną, dla każdego przyjemną. Wielka radość wypełniała ją i rozlewała się na całe otoczenie.

Dawniej nie było dla Wiery nic nieprzyjemniejszego, jak komplimenty — dziś słuchała ich spokojnie z pewną wyniosłą gracyą i odpowiadała tak trafnie, że patrzyłam na nią zdziwiona. Skąd się to u niej wzięło. Światowość, spryt i kokieterya! Myślałam, że jest — nihilistką nawskroś, a odkryłam w niej damę salonową. Ta niezwykła scena jednak trwała bardzo krótko, rozmowność Wiery znikała, w oczach jej ukazywał się wyraz nudy i pogardy.

— Czy twoi goście odejdą wkrótce, chciałabym z tobą pomówić — szepnęła mi do ucha.

Na szczęście zaczęli goście odchodzić.

Co tobie, Wiero? — zapytałam, gdyśmy zostały same.

Zamiast odpowiedzi pokazała mi Wiera czwarty palec swej lewej reki, na którym teraz, ku wielkiemu memu zdziwieniu, gładką obrączkę zobaczyłam.

— Wiero, ty wychodzisz zamąż?

— Już wyszłam; dziś o pierwszej w południe był mój ślub.

— Ale jakżeżto, gdzie twój mąż?

Twarz Wiery rozjaśniła się, rozkoszny, zachwycony uśmiech okolił jej usta.

— Mój mąż jest w twierdzy, wyszłam za Pawlenkowa.

— Co, ty? przecież nie znałaś go — gdzież poznaliście się?

— Myśmy się wcale nie poznali, widziałam go zdaleka podczas procesu i dziś na krótko przed ślubem mówiłam z nim przez kwadrans po raz pierwszy.

— Tak, ale jakto Wiero, cóżto ma znaczyć, czy zakochałaś się w nim odrazu na pierwszy rzut oka? Przecież chyba nie wtedy, kiedy prokurator tak na niego wygadywał?

— Nie gadaj głupstwa — przerwała Wiera — o zakochaniu niema mowy, ani z jednej, ani z drugiej strony, wyszłam za niego poprostu, bo wyjść musiałam, bo był to jedyny środek uratowania go.

Umilkłam i spojrzałam na Wierę pytająco.

Usiadła i zaczęła opowiadać, nie spiesząc się, ani się nie wzruszając, jakgdyby mówiła o zwykłych, codziennych rzeczach.

— Widzisz, zaraz po procesie rozmawiałam z adwokatami, wszyscy byli tego zdania, że sprawa innych oskarżonych nie stoi tak źle z wyjątkiem sprawy Pawlenkowa. Nauczyciel umrze, rozumie się, po dwóch, albo trzech miesiącach, ale on i tak nie żyłby długo, gdyż ma suchoty. Wszyscy będą zesłani, po upływie tego czasu każdy wróci i podejmie „sprawę“ nanowo. O Pawlenkowie tego powiedzieć nie można. Z nim będzie źle, byłoby lepiej, gdyby go skazano odrazu na śmierć przez powieszenie lub rozstrzelanie, przynajmniej skończyłoby się wszystko naraz, ale tak będzie się męczył przez dwadzieścia lat w katorgach.

— Ach Wiero, ilu już zostało skazanych na ciężkie roboty! — zauważyłam.

— Tak, widzisz bywają rozmaite roboty, gdyby on był zwyczajnym przestępcą, nie politycznym — to prokurator nie usiłowałby go tak wspaniale przedstawić, tak jednak to zupełnie co innego. Wysłanoby go na Sybir i byłoby tylko pół nieszczęścia, w Sybirze żyją także ludzie. A politycznych przestępców jest tam tak wiele, że stanowią potęgę; władza musi się z nimi liczyć. Jeżeli się teraz kogoś wysyła na Sybir, to go to bynajmniej nie martwi; chociaż życie tam jest ciężkie, wie on przecież, że tam od czasu do czasu spotka się ze swymi braćmi, z towarzyszami. Nie jest się zupełnie oddzielonym od świata, ma się nadzieję. A gdy na Sybirze komu bardzo smutno, może uciec, już niejeden próbował tego. Rząd jednak posiada środki stokroć gorszę niż wygnanie. Dla politycznych przestępców najwyższej kategoryi, dla najniebespieczniejszych istnieje „aleksiejewski rawelin“ w twierdzy petropawłowskiej. Tych, z którymi się chce prędko załatwi, posyła się nie na Sybir, ale dotej jaskini. Znajduje się ona w Petersburgu, pod wzrokiem władzy. O pobłażliwości i łagodności nie można tu mówić: tu panuje system odosobnienia w całej surowości, kto tam się raz dostanie, jest jakoby żywo pogrzebany; nie styka się z innemi więźniami, nie dostaje też listów od

daleko taniej i wygodniej, niżby to mogli zrobić, żyjąc oddzielnie.

W związku z H.-H. znajduje się jeszcze w danej okolicy inspekcya fabryczna stanu Illinois, a główny inspektor fabryczny jest rezydentem osady. W tejże okolicy za staraniem H.-H. znajduje się dział biblioteki publicznej miasta Chicago, a w jednym z domów osady znajduje się też tania kuchnia hygieniczna prowadzona przez H.-H. Latem urządzaną bywa gdziekolwiek na wsi szkoła letnia, a w ciągu całej zimy wykłady według systemu Univ. Extension i inne popularne lekcye.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Stulecie założenia szkoły normalnej *w Paryżu.*

„Szkoła Normalna“, z której wychodzi najznaczniejsza część profesorów wyższych szkół francuzkich obchodziła stulecie swego istnienia.

Aż do Wielkiej Rewolucyi, rzec można, iż oświata i nauczanie spoczywały wyłącznie w rękach duchowieństwa. Szkół ludowych nie było innych, jak tylko mizerne bakalarnie przy niektórych probostwach. Szkół żeńskich, rzec można, nie było żadnych, prócz klasztornych, a wiadomo, jak nikłym jest jeszcze obecnie program nauk na pensyonatach, pozostających pod strażą zakonnic. Dopiero od r. 1789 zaczęto wprowadzać ożywcze reformy pod względem wykształcenia publicznego. Mirabeau pierwszy opracował projekt organizacyi szkolnej dla płci obojga. Talleyrand zaproponował podział szkół na trzy kategorye: szkółek elementarnych, wyższych i najwyższych, w których Deklaracya Praw Człowieka miała zastąpić naukę katechizmu. Szkółki elementarne nazywały się k a n t o n a l n e m i, albowiem każdy kanton, na który to podział Francya została zreorganizowaną, powinien był posiadać swoją szkołę bezpłatną dla każdego, (lecz nie położono jeszcze wtedy warunku obowiązkowego do niej uczęszczania, którą to reformę zaprowadziła we Francyi dopiero trzecia Rzeczpospolita). Jednym z najgenialniejszych projektodawców reformy szkolnej był Condorcet. Stawił on sobie dwa pytania: Jakie są obowiązki Państwa w kwestyi publicznej oświaty? O ile program nauk powinien być jednakowy w szkole męzkiej i żeńskiej?.. W odpowiedzi na pierwsze z tych pytań Condorcet powiada, że należy rozróżniać wychowanie od wykształcenia. Wykształcenie obejmuje dane wiadomości, z któremi łączą się wierzenia polityczne i religijne. Tem więc zajmować się powinno Państwo. Wychowanie zaś spoczywa w ręku rodziców. Co do drugiego pytania, Condorcet stanowczo twierdzi, iż program nauk w szkołach męzkich i żeńskich powinien być jednakowy. Żądał przytem, by ilościowo nie ograniczano się na szkółkach kantonalnych, lecz by zakładano takowe stosownie do ilości mieszkańców. Chciał on zarazem, aby nietylko szkoły elementarne, lecz wszystkie aż do najwyższych były bezpłatne. W tymże samym czasie, tj. za czasów Konwencyi Narodowej, wielkie zasługi w opracowywaniu programu oświecenia położył Lakanal. W 1793 Danton zajmując się tą kwestyą, przeprowadził projekt „szkół, w których dzieci pobierać będą nauki, otrzymując przytem bezpłatne i całkowite utrzymanie.“

Prócz organizacyi szkółek elementarnych Konwencya Narodowa założyła mnóstwo wyższych zakładów naukowych, które niejednokrotnie zmieniając a raczej modyfikując swój program zależnie od formy rządu istniejącego, przetrwały aż do chwili obecnej. Z owej epoki datują: Szkoła politechniczna, szkoła wojskowa, konserwatoryum sztuk i rzemiosł, szkoła nauk ścisłych, instytut muzyczny, wreszcie szkoła normalna, która dopiero co obchodziła setną rocznicę swego założenia. Uroczystości wynikłe z tej okazyi trwały trzy dni. Korzystając z wakacyi zjechali się profesorowie obejmujący katedry na prowincyi i wspólnie zwiedzano różne zakłady naukowe w Paryżu, bankietowano a zwłaszcza wygłaszano mowy, które zebrane i razem wydrukowane stanowić będą księgę pamiątkową zjazdu.

Treść mów stanowiły wspomnienia szkolne i historyczny przebieg dziejów szkoły, życiorysy główniejszych postaci dawnych uczniów. Teraźniejszy dyrektor Szkoły Normalnej p. Jerzy Pezzot powiedział między innemi, sięgnąwszy do epoki powstania zakładu naukowego, na którego czele jest obecnie: „Konwencya narodowa postanowiwszy zorganizować warunki oświecenia publicznego, wszystko tworzyć była zmuszona. Brakowało jej bowiem wszystkich potrzebnych ku temu elementów. Istniejące programy należało uważać za niebyłe, brak było odpowiednich książek, a ilość ludzi mogących je pisać i wykładać nauki też była niewielka. Przedewszystkiem zajęła się Konwencya przygotowaniem nauczycieli. W tym celu założyła Szkołę Normalną, w której obowiązki i programy nauczania wykładali przyszłym profesorom ludzie tej miary jak: Lagrange, Monge, Laplace, Daubenton, La Harpe, Volney, Bernardin de Saint-Pierre. Słuchaczami tych mężów byli ludzie zwiezieni ze wszystkich zakątków Francyi na koszt Skarbu Narodowego.“

P. Gaston Boissier (świeżo obrany dożywotni sekretarz Akademii francuzkiej) przemawiał w imieniu Towarzystwa byłych uczniów Szkoły normalnej. „W wiekach średnich, a nawet w epoce odrodzenia, która tyle radykalnych zmian wprowadziła w ustroju cywilizowanych społeczeństw, profesor zawsze był księdzem. Nie umiano sobie wyobrazić nawet by nauczanie mogło stać się udziałem człowieka świeckiego. Dopiero Wielka Rewolucya zmieniła te poglądy. A wszakże dziś uważamy za warunek nieodzowny, by młodzież mająca brać czynny udział w życiu publicznem, mająca je tworzyć, kształconą była pod kierunkiem ludzi biorących w niej udział. Słusznem bowiem jest, by duchowni kształcili przyszłych swych spadkobierców, to jest księży, ludzie zaś świeccy, teraźniejszością przejęci i o nią dbający, przygotowywać powinni pokolenia młodzieży do walki i przymierza z rzeczywistością, to jest z życiem.“

---

towarzyszy, nie wolno mu też dawać wiadomości o sobie. Człowiek jest wymazany z listy żyjących i to wszystko. Nasz rząd nie robi sobie wiele z tego, ale przecież przykro mu podpisywać często wyroki śmierci, wstydzi się tego, co powiedzą zagranicą. W tym celu wymyślono ten „aleksiejewski rawelin“ ,zawsze to lepiej brzmi niż „śmierć przez powieszenie“ a rezultat ten sam.

Chociaż tam wielu politycznych przestępców więziono, nie słyszano, żeby chociaż jeden wyszedł stamtąd. Zwykle mijają miesiące, najwyżej rok, albo dwa, a krewni dowiadują się, że ten albo ów „szczęśliwie“ zmarł, albo rozum utracił, albo sam się zabił. Mówią, że nikt tam dłużej nie wytrzyma nad trzy lata. I Pawlenków miałby dostać się do tej przeklętej jaskini?...

Wiera zbladła ze wzruszenia, głos jej drżał, a na rzęsach wisiały łzy.

— Ale w jaki-sposób mogłaś go uratować? — spytałam niecierpliwie.

Czekaj, dowiesz się zaraz — odpowiedziała Wiera spokojnie. — Gdy się dowiedziałam, jaki los czeka Pawlekowa, zrobiło mi się go tak żal, że tego wyrazić nie mogę. Dniem i nocą myślałem tylko o niem. Poszłam do jego adwokata, zapytałam? czy jest niemożliwem coś wymyślić. „Nie, odpowiedział adwokat, gdyby był żonaty, to byłoby co innego, wtedy byłaby nadzieja. Według naszych praw może żona, jeżeli chce iść z mężem do katorgi; gdyby Pawlenkow miał żonę, mogłaby ona wnieść podanie do cara o pozwolenie towarzyszenia mężowi na Sybir, a cesarz zlitowałby się może, ale na nieszczęście jest Pawlenkow kawalerem“.

— Pojmiesz — mówiła dalej Wiera — co postanowiłam, usłyszawszy to; muszę prosić cara o pozwolenie, żebym mogła zostać żoną Pawlenkowa.

Ale Wiero — zawołałam — czy pomyślałaś jakie taki krok może mieć następstwa dla ciebie, nie wiesz przecież jakim człowiekiem jest Pawlenkow i czy jest godnym takiej ofiary.

Wiera spojrzała na mnie surowo.

— Mówisz to seryo? czy nie możesz naprawdę pojąć, że i ja, gdybym nie uczyniła wszystkiego, co dla mnie możliwe, aby go uratować, że i ja byłabym winną jego zguby? Powiedz mi tak szczerze — czy nie zrobiłabyś tego samego, gdybyś nie była zamężną?

— Nie, Wiero zdaje się, żebym się na to nie zdecydowała — odpowiedziałam szczerze.

Wiera spojrzała na mnie surowo.

— W takim razie żałuję cię — odpowiedziała i mówiła dalej: — mnie zaraz to uderzyło, że tak uczynić jest moim obowiązkiem, ale jak uzyskać pozwolenie? Gdy to powiedziałam adwokatowi, zawołał, że o czemś podobnem i myśleć nie można, na to nie zezwolą nigdy. Ale nagle przyszło mi na myśl, że jest człowiek, który mi pomódz może. Czy słyszałaś co o hr. Ratow?

— Któżby o tym byłym ministrze nie słyszał? Mówią, że on i teraz, chociaż już dawno usunął się od spraw, ma niemały wpływ na cara; ale jakiż związek może mieć Ratow z tą sprawą?

— Widzisz, on jest daleki mój krewny, ale to nie nie znaczy, głównem jest to, że był zakochany w mej matce i to nie żartem. Często gdym była dzieckiem trzymał mnie na rękach i przynosił mi cukierki. Rozumie się, że nie przypominałabym się mu; co mnie obchodzą tacy ludzie, ale teraz przyszło mi na myśl, że może mi być pożytecznym, napisałam do niego i prosiłam o audyencyę. Odpowiedział bezzwłocznie i oznaczył godzinę.

— No Wiero, opowiadaj szybciej, jak się rzecz miała. Mogę sobie wyobrazić. stary ogłupiał pewnie, zobaczywszy ciebie, nie szył się pewnie swoją dawniejszą ulubienicą.

Przypomniałam sobie wszystko, co słyszałam o starym hrabi, że stał się bardzo pobożnym i całe dnie się modli i pości. „Dziwne musiało być to spotkanie,“ pomyślałam i zaśmiałam się.

— Tu niema nic do śmiechu — powiedziała Wiera tonem obrażonym — posłuchaj jak rozsądna jestem, jakie świetne myśli przychodzą mi do głowy. Ty wyobrażasz sobie może, że przedstawiłam mu się jako nihilistka. Ani myśli, wiem przecież, że ci starzy grzesznicy lubią ładne twarzyczki; chociaż tak poszczą i modlą się, jak tylko zobaczą ładną maseczkę odrazu można ich kupić, niczego wtedy nie odmawiają. Więc też wystroiłam się ładnie i poszłam. Na to

P. Poincaré, minister oświecenia i sztuk pięknych, powiedział między innemi: „Szkoła Normalna powstała w chwili najświetniejszego naszego przewrotu społecznego, w epoce naszego narodowego odrodzenia się i odnowienia, gdy nareszcie Francya zawładnęła sama sobą, poznała swoje prawa, cele i gatunek obowiązków względem samej siebie. Uznała ona wtedy, iż oświata narodowa jest rzeczą główną, obowiązkiem wyższym po nad inne. Zerwała wtedy z przewrotnie pojmowaną uniwersytecką tradycyą i nauczać postanowiła w chęci kształcenia ludzką jednostkę dla własnego jej dobra, nie zaś dla dobra garstki, czy też pojedyńczych osobistości stojących u steru spraw publicznych. Przed Wielką Rewolucyą wiedza i filozofia były służkami oficyalnych doktryn, wytwarzających kohortę posłusznych i biernych uczniów, trzymanych w ryzie zmonopolizowanych metod i pojęć. Od naszej wielkiej historycznej daty, następuje przełom i oświata staje się dobrem ogółu, prawem każdego. Szkoły przestają być narzędziem wytwarzającem rządzonych, lecz stają się narzędziem przyspasabiającem rządzących. Światło rozniecone Wielką Rewolucyą ulegać mogło zaćmieniu, w różnych chwilach naszej historyi narzucono stłumienie jego czystej jasności, lecz ogień jego nigdy zgaszonym być nie mógł i być nie może.“

Trzydniowe uroczystości stulecia Szkoły Normalnej, rozpoczęły się wmurowaniem przy bramie gmachu marmurowej tablicy, na cześć Pasteur'a, który był przez długie lata jednym z profesorów Szkoły i posiadał tu swoje laboratoryum od r. 1864 do 1888, to jest do chwili, gdy przeniósł swoją obserwacyjną pracownię do ukończonego pod tą datą Institut Pasteur. Na marmurowej tablicy, którą odsłonięto wśród wielkiego ogólnego wzruszenia zebranych i przed którą wygłoszono mowy zaznaczające zasługi Pasteur'a, są wypisane słowa i daty wiekopomnych jego odkryć: *1857, Fermentations. 1860, Generations spontanées. 1865, Maladies des vins et de la bière. 1868, Maladies des vers à soie. 1881. Virus et vaccins. 1885, Prophylaxie de la rage.* *I...z.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika Warszawska.

Warszawa, 26 sierpnia.

(Ugoda. — Przyjazd cara. — Deszcze. — Wystawa w Niższym Nowogrodzie. — Sprawa Puszczy. — Rozmaitości.)

Wydawane przez ks. Uchtomskiego „Petersburskie Wiedomosti“ w dalszym ciągu prowadzą propagandę, mającą na celu pogodzenie Polaków z Moskalami. I tak w jednym z ostatnich swych numerów zamieściły korespondencyę z Warszawy, zasługującą na baczniejszą uwagę. Autor rzeczonej korespondencyi, podpisujący się Nabladatiel, podawszy na wstępie kilka zebranych z rozmaitych okolic Królestwa Polsk. faktów wiernopoddańczych uczuć ludności, które się ujawniły z okazyi koronacyi młodego cara, zaznacza z radością, że i w inteligencyi polskiej budzą się na stosunki z Rosyą nowe zapatrywania. Znaleźli się ludzie wybitni — mówi Nabladatiel — o poglądach szerszych, rozleglejszych, którzy mieli odwagę w druku oświadczyć, że stronienie od narodu rosyjskiego, a tem samem od całej słowiańszczyzny, niepowetowaną przyniesie krzywdę interesom Polaków, i którzy wzywali społeczeństwo polskie, aby faktycznie i w pełni świadomości uznało swą lojalność względem państwa, do którego składu należy, nie czyniąc bynajmniej tej lojalności zależną od spodziewanych ustępstw. Ludwik Straszewicz w Petersburskim Kraju i ktoś inny, piszący pod pseudonimem „Ja“ w Krakowskim Czasie, jednocześnie prawie ubolewają nad brakiem odwagi cywilnej pośród wybitnych członków społeczeństwa polskiego, którzyby „nie wahali się krzewić wśród tego społeczeństwa nowych myśli, bardziej dojrzałych i skończonych, myśli zgodniejszych z obecnym stanem rzeczy“.

W dalszym ciągu swych wywodów przyznaje korespondent z rzadką u rosyjskiego publicysty bezstronnością, że część winy za obecne stosunki spada na urzędników państwowych, nie obeznanych z rzeczywistemi celami i zamiarami rządu, i kończy list swój następującą apostrofą: „Publicyści polscy i kierownicy opinii publicznej, zalecający bezwarunkowe pojednanie z Rosyą, winni przedewszystkiem oddziałać na tę część inteligencyi polskiej, która szuka zbliżenia z prostym ludem, szczególniej zaś z włościanami, w celu obudzenia obcych tej sferze dążeń politycznych. Dalej, winni pociągnąć pod sąd opinii publicznej klikę szowinistów, podniecających namiętności, siejących niezgodę i prawiących o możliwości przywrócenia Polski w granicach r. 1772. A potem sprawa zbliżenia dwóch pokrewnych narodów będzie już tylko kwestyą czasu“.

Wobec systemu rusyfikacyi, praktykowanego z dawniejszą bezwzględnością na każdem polu tutejszego życia, nadzieja „zbliżenia dwóch pokrewnych narodów“ chwilowo na kruchych spoczywa podstawach, i przynajmniej pomiędzy nami bardzo nie wielu liczy zwolenników. Swoją drogą nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wytworzyłyby się daleko znośniejsze stosunki pomiędzy obu narodami, gdyby i inne miarodajne organa rosyjskiej opinii publicznej przyswoiły sobie przy omawianiu naszych stosunków ton panujący w „Petersburskich Wiedomostach“. Nie ma chyba w naszem społeczeństwie trzeźwo myślącego polityka, któryby nie dążył do zbliżenia się ku Rosyi, o ile to zbliżenie się nie narazi nas na zatratę naszej narodowości. A tego niebezpieczeństwa zdają się nie uwzględniać ci, którzy już w dzisiejszych warunkach przemawiają za polityką lojalności wobec rządu, nie wykazującego w postępowaniu swem względem nas i śladu lojalności. Dalecy jesteśmy od tego, abyśmy zwątpili we wszelką możliwość zbliżenia się do Rosyi, ale jak dzisiaj rzeczy stoją, zbliżenie to jest kwestyą dalekiej jeszcze przyszłości.

Lecz zwróćmy się do spraw aktualniejszych. Po piekielnych upałach, panujących przez cały lipiec i początek sierpnia, mamy obecnie od dni kilkunastu bezustanne deszcze. Oddychamy więc choć nie świeższem, to przynajmniej chłodniejszem powietrzem.

---

właśnie sprawiłam sobie tę suknię, a jaką minę przybrałam, możnaby myśleć, że nie umiem wody zamącić. Hrabia naznaczył mi godzinę dziewiątą rano. Przyszłam. Ale powiadam ci jak oni mieszkają ci bogacze. Pokutnicy, asceci nie powinni mieszkać w takich pałacach. U wejścia przywitał mnie szwajcar z ogromną laską, straszny, sam podobny do wielkiego pana. Z początku nie chciał mnie puścić, pokazałam mu list hrabiego, wtedy uderzył o płytę miedzianą na ścianie, w tej chwili zjawił się, jak z pod ziemi, hajduk, wysoki, w ubraniu pokrytem sznurami, i prowadził mnie przez schody przystrojone roślinami. Na górze spotkaliśmy innego hajduka, również wysokiego, ten zaprowadził mnie przez kilka salonów i tam oddał mnie w ręce lokaja w liberyi. Prowadzono mnie i prowadzono z jednej sali do drugiej po posadzkach gładkich, błyszczących i tak śliskich, że można na nich było upaść plackiem, nim się człowiek spostrzeże. Malowane sufity, na ścianach zwierciadła w złoconych ramach, złoconą materyą kryte meble, a wszędzie pusto, ani żywej duszy; a lokaj jest tak majestatyczny idzie milcząc, nie mówi ani słowa. Wreszcie zaprowadził mnie do pracowni hrabiego, tam przyjął nas hrabski kamerdyner. Wszyscy lokaje, którzy mi wskazywali drogę, byli wzrostu wysokiego, mieli bogate, złotem zdobne liberye, ten stary był mały, wyglądał biednie, miał na sobie stary, wytarty surdut, ale twarz jego była mądra, przebiegła — cały dyplomata. Zmierzył mnie uważnie od stóp do głów, jakgdyby chciał zajrzeć aż w duszę, potem powiedział powoli: Pani tu poczeka łaskawie, jego dostojność wstał dopiero i raczy się modlić.

Zostawiono mnie samą w pracowni. Był to duży pokój tak, że z jednego końca nie można dojrzeć na drugi, tu nie było ani zwierciadeł, ani złoceń, zwykłe żelazne meble, wszędzie ciemne portyery i żaluzye, nawet okna są do połowy zasłonione tak, że w pokoju panuje półzmrok. W jednym kącie stał wielki obraz świętego, przed którym paliło się kilka lampek. Tu siedziałam i siedziałam, czas wlókł się powoli, strasznie powoli, a hrabia nie przychodził, zaczęłam się niecierpliwić. Nasłuchiwałam. Za jedną z portyer słyszałam niewyraźny szmer, podniosłam ją ostrożnie i znowu zobaczyłam pokój, wybity czarnym suknem, podobny do katolickiej kaplicy, wszędzie obrazy świętych, krucifiksy i lampki; w kąciku stał drobny człowieczek, zasuszony jak mumia, mruczał coś i co chwilę uderzał czołem o ziemię, a dwaj lokaje podpierają go z dwóch stron, to spuszczają go, jak lalkę drucianą na kolana, to podnoszą na nogi, a jeden z nich liczy głośno ile razy jego dostojność ku ziemi schylić się raczyła.

Mnie wydało się to tak śmiesznem, że nieśmiałość moja przeszła. Kiedy lokaj policzył do czterdziestu, nazywało się to dosyć na dzisiaj, a hrabia został odprowadzony z przed ołtarza. Zaledwie mogłam spuścić portyerę i przybrać skromną minę, gdy jego dostojność stanął przedemną.

Spojrzał na mnie i zawołał: Boże, przecież to Alina, (takie było imię mej matki) podobna do Aliny, jak dwie krople wody. I jego dostojność wylał kilka łez. Zaczął mnie błogosławić, przerywał mi, ja ucałowałam jego ręce i usiłowałam także wycisnąć trochę łez z moich oczu. Stary przypomniał sobie przeszłość, rozczulił się, a ja przecież nie jestem głupia — naśladowałam go; o mojej sprawie ani słówka. Opowiadałam mu rozmaitości, jak matka go ciągle wspomina, jak się modli i widzi go w snach swoich. Skąd to wszystko wtedy brałam, nie wiem. Jego dostojność wzruszył się bardzo, jak stary kot, zaczął mi obiecywać wiele pięknych rzeczy, chciał mnie nawet przedstawić na dworze. Była nawet taka chwila, że chciał mnie przyjąć za córkę, on nie ma żadnej rodziny, żona i dzieci dawno pomarły. Zauważyłam, że stosowna chwila nadeszła; skąpana w łzach wyznaję mu, że kocham jednego człowieka, a gdy nie zostanę jego żoną, nie będę żyła.

(Dokończenie nastąpi).

gdy z bliższych i dalszych okolic kraju nadchodzą rozpaczliwe skargi letników na wodę, która im się leje na karki w licho zaopatrzonych willach i chatach wiejskich. Powracać też już zaczynają do Warszawy coraz liczniejsze zastępy tych pożałowania godnych męczenników mody i powoli ożywia się miasto nasze. Nadzieje czy obawy, że wyludni je wszechrosyjska wystawa w Niższym Nowogrodzie, spełzły na niczem. Pomimo wszelkich udogodnień, bezpłatnych biletów jazdy dla całych kategoryi ludności itp. procent mieszkańców Królestwa Polskiego udających się do Nowogrodu jest znikająco niski. Widocznie jesteśmy społeczeństwem zachodniem i nic nie pociąga nas do oglądania i podziwiania cudów dalekiego wschodu, swoją drogą nie uważamy tego wstrętu do poznania i zbadania życia rosyjskiego na miejscu za objaw dodatni. Jeźli mi czas pozwoli wybiorę się w przyszłym miesiącu do Nowogrodu, aby następnie podzielić się z wami wrażeniami tej bądź co bądź niezwykłej podróży.

W jednym z poprzednich mych listów poruszyłem sprawę puszczy. Powracam do niej raz jeszcze, ponieważ zatarg pomiędzy zarządem Osad rolnych a kilku organami prasy tutejszej zaostrza się coraz bardziej i stanowi w obecnej chwili główny przedmiot ogólnego zainteresowania. Po długiem wahaniu zdecydował się wreszcie komitet osad rolnych, pod którego zarządem pozostaje także zakład dla moralnie zaniedbanych dziewcząt w Puszczy, wystąpić z odpowiedzią na stawiane mu zarzuty. Sążnisty ten memoryał nie wyjaśnia właściwie niczego, a przedewszystkiem nie zbija twierdzenia, „robiącego w moralności“ p. Jeleńskiego, redaktora „Roli“, że przełożona Puszczy, jako w wysokim stopniu moralnie zaniedbana kobieta nie nadaje się do kierowania wychowaniem i poprawą moralnie zaniedbanych dziewcząt. Należałoby bez hałasu usunąć tę damę od kierownictwa przytułku, zamiast wdawać się w polemikę, która wobec dowodów. znajdujących się w ręku p. Jeleńskiego, wobec wreszcie niezwykłego talentu polemicznego tego pana i poczytności, jaką się cieszy jego pismo, skończyć się musi stanowczą porażką zarządu Osad rolnych. Cóż, kiedy na czele tego zarządu stoi prof. Miklaszewski, którego właśnie łączą z ową przełożoną więcej niż blizkie stosunki, i który, co mu się zresztą chwali, nie chce opuścić w tych opałach swej przyjaciółki. Znalazłaby się wprawdzie skuteczna rada, a mianowicie usunięcie pospołu z przełożoną Puszczy i prezesa zarządu; wątpić jednak należy, aby Komitet osad rolnych, odznaczający się wyjątkową nieudolnością, zdobył się na krok tak heroiczny. Podług wszelkiego też prawdopodobieństwa kłótnia ta trwać będzie w dalszym ciągu, dopóki nie zwróci uwagi rządu rosyjskiego, który korzystając z tej sposobności pogodzi strony wojujące, zabierając osady rolne pod własny zarząd.

Powitana z takiem zadowoleniem nowa reżyserya naszej sceny mało daje znaków życia. Znalazłszy w „Komedyantach“ Paillerona sztukę przyciągającą, spoczywa na tych laurach. Co prawda, obecna pora, gdy większa część najlepszych artystów bawi na urlopach, mało się nadaje do ożywienia repertuaru. Za to rozpoczął się sezon gościnnych występów. I tak z niezwykłem powodzeniem wystąpił kilka razy na scenie Rozmaitości artysta teatru krakowskiego p. Śliwicki, wyborny lekki amant, odtwarzający stylowo zwłaszcza postacie Fredry. W przyszłym tygodniu wystąpić ma kilkakrotnie p. Wróblewska-Cichowiczowa.

Towarzystwa ogródkowe, którym przy dżdżystej porze obecnej dzieje się nieszczególnie, przygotowują się już do odlotu — sezon kończy się z dniem 13-go września. P. Wołowski wraca z swą trupą na zimowe leże do Łodzi. Goszczący w „Bellevue“ p. Terentjew, który, nawiasem mówiąc, występuje obecnie w swym teatrze jako baryton pod nazwą Silvaniego, udaje się z swą trupą do Odesy i Kijowa. PP. Przybylski i Dobrzański z „Wodewilu“ zakontraktowali podobno teatr w Petersburgu. Niezależnie od tego kilka trup aktorskich grasować będzie podczas zimy po prowincyi. Przed kilku dniami bawił tu nowy dyrektor teatru poznańskiego, p. Rygier, celem skompletowania swej trupy, która liczyć będzie przeszło 30 osób, przeważnie sił młodszych.

Pojutrze przejeżdżać będzie przez Warszawę, nie zatrzymując się, koleją obwodową, car, udając się do Wiednia. Powrót nastąpi prawdopodobnie w nadchodzącą sobotę. I z powrotem nie zatrzyma się car w Warszawie, lecz uda się bezzwłocznie w dalszą drogę do Petersburga. Do Spały przyjeżdża na kilkotygodniowy pobyt stryj cara, W. ks. Włodzimirz.

X. W.

Sverdrup i Nansen.

W aureoli sławy, jaka otoczyła Nansenowską wyprawę podbiegunową dwa nazwiska wybiły się na czoło: kierownika jej Fritjowa Nansena i tego, który po nim objąwszy dowództwo „Frama,“ doprowadził go zupełnie szczęśliwie do Ojczyzny, Ottona Sverdrupa.

Nansen wiedział dobrze co robi, powierzając okręt temu właśnie człowiekowi, wypróbował go bowiem, jako niezrównanego towarzysza podczas swojej podróży w poprzek Grenlandyi w r. 1888. Jestto mężczyzna 41-letni. z powierzchowności nie należący do norwegskiego typu: niskiego jest bowiem wzrostu, ma czarne włosy i czarną krótką brodę, silnie zagięty nos orli, bystre oko, wyraz twarzy ponury i zdeterminowany. Urodził się w dzikiej północnej Norwegii, jako syn właściciela ziemskiego, a więc od chłopięctwa musiał pasować się z dziką naturą, przyzwyczajając się do życia północnego myśliwca, który na nartach, czyli po norwesku „ski“ (czyta się: „szi“), lotem ptaka przebywa ogromne śniegowe przestrzenie. „Zbyt wielkiem zamiłowaniem do książek, Sverdrup się nie cieszy“ powiada o nim Nansen, ale zato niezrównany jest, jako marynarz na wodach podbiegunowych. Młodym chłopcem poszedł na morze, z majtka awansował na sternika i kapitana okrętu i tłukł się wiele po morzach północy, wyrabiając się w człowieka, któremu trud za poduszkę, a niebezpieczeństwo za kołdrę służy. Kiedy onego czasu Nansen wraz

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(*Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.*)

WSTĘP.

Przed kościołem OO. Karmelitów w mieście W. zgromadziło się szczupłe grono ludzi dojrzałego wieku męzkiego, wyczekując z zaciekawieniem zbliżania się nowych przybyszów, którzy z rozmaitych stron ciągnęli na miejsce umówionego spotkania.

Był to dzień 4 czerwca 1896 roku, trzydziestopięcioletnia rocznica opuszczenia ławy gimnazyalnej przez gromadkę przed kościołem zebraną, zbierającą się peryodycznie, najprzód co lat dziesięć, a następnie — ponieważ życie biegnie rączej, im bardziej do kresu się zbliża — i co lat pięć, by takiem uświęceniem pamiątki dni jutrznianych, zacieśniać węzły przyjaźni i koleżeństwa, zadzierżgnięte za młodu.

Naturalną losów koleją, z każdą rocznicą zmniejszało się owe grono i z rezygnacyą spoglądało w przyszłość, wyczekując chwili, gdy ostatni z grona przyjdzie ostrzelać plac spotkania i pomodlić się za duszę tych, co już wcześniej swą ziemską zakończyli pielgrzymkę.

Tym razem jeszcze nie bardzo się przerzedziły szeregi. Od ostatniego spotkania czterech jedynie nie dopisało....

I bielały zwolna, ongi tak czupurnie w świat spoglądające głowy i chyliły się zwolna ku ziemi. ongi tak sprężyste karki, lecz z oczu wszystkich tryskał ogień młodzieńczego zapału i radości, że po latach wielu, znowu mogli uścisnąć dłoń bratnią i przekonać się, że między owem gronem niema ludzi wykolejonych i nadłamanych, lecz wszyscy w miarę możności pracują na znojnej glebie życia powszedniego, nie wyzuwszy się z ideałów, któremi ich piękna namaściła młodość.

Byli między owem gronem: ziemianie, strzegący czujnie ojczystego kawałka ziemi; byli przemysłowcy i fabrykanci, byli zacni i skromni urzędnicy instytucyi obywatelskich, byli adwokaci i literaci, nie obcego ogółowi nazwiska, był nawet między nimi i bankier, wyjątkowej — nie tylko między bankierami — zacności i uczynności, do którego kieszeni znajdowali zawsze dostęp nie tylko koledzy biedniejsi, lecz i wielkie i ważne sprawy, z filantropią i oświatą krajową związane. Czas nie oziębił uczuć serdeczności między członkami grona, zrekrutowanego z najrozmaitszych warstw społeczeństwa rodzimego. Dobrze zrozumiana równość sprzęgła ich na gruncie wzajemnego przywiązania i życzliwości bratniej, a poczucie obowiązku względem kraju spotęgowało owe węzły cementem wspomnień przeżytej doby — doniosłości historycznej. która, w ostatniem trzydziestopięcioleciu nie tylko dla nich, lecz i dla szerokiego ogółu nie była pozbawiona cech tragicznych....

Gdy już ostatni z oczekiwanych kolegów znalazł się na miejscu spotkania, i zebrane grono, po wesołem powitaniu się wzajemnem i po obliczeniu głów siwych, lub też zupełnie bezbarwnych, zabierało się do wstąpienia w progi kościoła, dla wysłuchania mszy żałobnej, pojawiła się jakaś nieoczekiwana postać w osobie szpakowatego, lecz dzielnie, po żołniersku trzymającego się mężczyzny, który zbliżywszy się do zebranych, wyciągnął ku nim ręce z zapytaniem:

— Czy mnie poznajecie bracia?

— Roman! dzielny Roman! zawołało kilka głosów i wnet otoczono przybysza z oznakami radości i zdziwienia, tak jak się wita człowieka nieoczekiwanego, a pożądanego, od lat dawnych z orbity stosunków potocznych wytrąconego.

— Nie zapomniałem o rocznicy naszej odezwał się przybysz — a nie moja, jak wiecie wina, żem na poprzednich jubileuszach nieobecnością swą świecił. Teraz jestem znów wolny, o ile nim być może dziecko tego kraju. Odpokutowałem — jeśli tak chcecie — za grzechy młodości, niedoświadczenia i szlachetnych krwi porywów, oderwałem się od szubienicy, odsiedziałem karę w kopalniach i na zesłaniu; obecnie zaś, kr-

z nim przebywszy szczęśliwie na nartach Grenlandyę dotarł do zachodniego jej wybrzeża, obaj śmiali towarzysze znaleźli się mimo powodzenia o 100 kilometrów od zamieszkałych miejsc, oddzieleni od nich morzem, Sverdrup z rozmaitych kawałków drzewa i płótna żaglowego, zbudował małą łódkę, którą wraz z Nansenem przeprawił się przez morze. A kto wie czy bez tego heroicznego wysiłku Sverdrupa, wyprawa owa nie była się skończyła śmiercią obu śmiałków. Takiego człowieka potrzeba było, aby „Fram“ szczęśliwie przeprowadzić przez lody.

Ale, aby wyciągnąć wszelkie korzyści naukowe z wyprawy podbiegunowej, na to potrzeba oprócz odwagi, wytrwałości, przytomności umysłu, także głębokiego wykształcenia. A te wszystkie przymioty łączy w sobie Nansen. Mało kto zapewne wie, że ten śmiały podbiegunowy awanturnik, jest z zawodu spokojnym doktorem filozofii i konserwatorem zoologicznego instytutu na uniwersytecie w Chrystyanii. Co prawda to mało jest podobnym do przyrodnika z „Fliegende Blätter“ ubranego w okulary i uzbrojonego siatką na motyle. Na bardzo długich nogach osadzony jest potężny, szeroki w ramionach korpus, a na nim jasnowłosa, typowa norwegska głowa, o długim prostym nosie, wystającą brodą. Wygląda tak, jak człowiek, co nie wiele robi sobie z niebezpieczeństwa, a mimo to po bliższem przyjrzeniu się w rysach jego odkrywa się subtelnego uczonego. Ta podwójna natura jego, łączy się harmonijnie w całość i przebija się w całej jego istocie.

Fritjof Nansen, urodzony d. 10 października 1861, w Fro'en pod Chrystyanią, liczy obecnie lat niespełna 35, a dla badań naukowych obcował zawsze z bliska z naturą, a także jako namiętny myśliwiec, w wyprawach na nartach odbywanych, podróżach wodnych, i wędrówkach po spadzistych górach, rozmiłował się przedewszystkiem w północnem morzu lodowatem. Wykształcenie naukowe Nansena jest nietylko głębokiem, ale i wszechstronnem. Doskonale jest obznajmiony z literaturą nietylko ojczystą, ale i obcych narodów, a przytem obdarzony jest niezwykłym talentem literackim, który wysokiej dodaje wartości jego rozprawom naukowym i opisom podróży. Z szczególniejszem zamiłowaniem Nansen studyuje życie ulubionych swoich Eskimosów, których opisał Europejczykom z niemniejszem ciepłem i talentem, jak niegdyś Tacyt Germanów Rzymianom.

Nansen nie jest wcale blagierem i nie potrzebuje wcale przesadzać niebezpieczeństw swoich podróży; zuchwałość i ten pęd, który tylu ludzi pognały ku biegunowi, mieszkają i w nim, lecz kontrolowane i ograniczone przez wielką przezorność.

Oprócz pragnienia wiedzy i zuchwałej żądzy zajrzeć niebezpieczeństwu w oczy, ciągnął Nansena na północ patryotyzm. Od czasów Eryka czerwonego wszyscy skandynawowie uważają daleką północ za swoją dziedzinę i dziś niechcą oni zatem dać się wyprzedzić innym narodom w odkryciach podbiegunowych. Patryotyzm był pobudką dla Duńczyków przy odkryciu i zajęciu Grenlandyi, patryotyzm kierował Nordenskieldem i Nansenem. Nansen nie jest wcale pustym szowinistą, bo szowinistów nie ma, lecz sami rozumni patryoci w tym dziwnie sympatycznym kraju chłopskim, jakim jest Norwegya. Owszem nikt bardziej niż Nansen nie umie cenić zasługi czynów narodów, a przecież wszystko co czyni, czyni „na większą sławę Norwegii.“

Oto dwie najwybitniejsze postacie z bohaterskiej garstki, które stanowiła wyprawę nansenowską. Do ludzi tych możnaby zastosować wyrażenie Słowackiego, że mają „pierś na miarę nie krawca, lecz Fidyasza.“

Ruch kobiecy w Niemczech.

Kobiece zjazdy dotychczasowe w Niemczech robiły często wrażenie sesyjek, na których kumoszki, cerując skarpetki swych towarzyszów życia, wynurzały się wzajemnie przed sobą ze swych dolegliwości. Mówiono o przewrotności mężów, o ich brutalnem obejściu z połowicami, uskarżono się na późne wychodzenie za mąż córek, na nierząd utrudniający karyerę małżeńską kobiecie uczciwej, zgadzano się, iż należy inaczej wychowywać dzieci itd. Bez wrzawy rozchodziły się delegatki, aby na przyszły rok powtórzyć kubek w kubek to samo w nieco odmiennej formie. Prasa pomijała te kongresy milczeniem, a opinia publiczna lekceważyła je zupełnie. Od kilku lat przecież zjazdy te, zdaje się, zmieniają swój charakter na lepsze. Tegoroczny wiec „Związku stowarzyszeń kobiecych,“ jakby urągając tradycyi, odznaczał się bogatą treścią rozpraw, poważnym, nie małostkowym przebiegiem posiedzeń i po części sympatyczną cechą tematów. Zanosi się chyba na to, iż ruch kobiecy, który już od lat kilku ugrzązł w Niemczech w bagnisku frazesów i filisterstwa, ma zamiar wystąpić czynnie na polu politycznem i ekonomicznem. Kobiety niemieckie, skutkiem smutnych doświadczeń i rozczarowań, które przeszedł ich ruch, przychodzą do wniosku, że życie polityczne jest w Niemczech koniecznością dla nich — nietylko dlatego, że było ono dotychczas przewilejem mężczyzn, lecz przeważnie z tego względu, że ciała prawodawcze tego kraju decydują o wszystkich sprawach bytu społecznego. Chcąc polepszyć swe położenie prawne lub ekonomiczne, kobieta musi posiadać głos w życiu politycznem. Tak np. Reichstag ma wkrótce nadać swą sankcyę kodeksowi cywilnemu, w którym ukuto nowe kajdany dla kobiet. Kodeks ten, na którym reakcya ostatniego dziesięciolecia wycisnęła swe piętno, pod niektóremi względami pogorszy położenie kobiet niemieckich. Zrozumiały więc one, że kiwanie palcem w bucie nie wystarcza w tak ważnej chwili. Bombardowano parlament petecyami, napisano sporo broszur przeciwko nowonarodzonemu kodeksowi, lecz nie zdobyto się na to, aby w mieście takiem, jak Berlin, który posiada pół miliona dorosłych kobiet, zwołać zebranie w celu zaprotestowania przeciwko prawnym bezprawiom. Lecz, bądź co bądź, ostatni zjazd „Związku stowarzyszeń kobiecych“ w Kasslu odbył się pod znakiem agitacyi polityczno-ekonomicznej. Na tym zjeździe 70 kilku stowarzyszeń kobiecych można było napotkać różne typy szermierek. Były tam takie, które widzą zbawienie uciskanej

---

rzystając z manifestów, pracuję wraz z rodziną w rodzimym kącie, na kawałku ziemi, oddany wspomnieniom lat ubiegłych, i oto, staję wśród was, ubielony nieco, lecz nie przygarbiony, i patrzę śmiało w oczy wasze, jak człowiek, który w walce życiowej wytrwał, przebolał, a nie złamał się i nie skisł moralnie!....

Wyciągnęły się ku przybyszowi ręce kolegów i łzy rozrzewnienia były odpowiedzią na takie słowa powitania. Przypomnieli sobie serdecznego paliwodę Romana na ławie szkolnej, niezwykłe losów koleje, jakie przebył, a które znano z opowieści jedynie, ze wzmianek dziejopisów nieszczęsnego roku 1863; przypomnieli sobie, że ten, którego widzieli przed sobą, porwany prądem ogólnym, ruszył na czele młodzieży na Podlasie i Litwę, stoczył kilka krwawych bitew, i osaczony wreszcie przez wrogo względem powstania usposobionych chłopów prawosławnych na Pińszczyznie, wzięty w niewolę, dzięki jedynie szlachetności dowódzcy rosyjskiego, generała Nostitza, który umiał uszanować w nim nieustraszone męztwo, uniknął stryczka.

Nie on jeden z pośród dawnych kolegów gimnazyalnych ujawnił czynem bezgraniczne poświęcenie dla kraju, w epoce, gdy niestety! za poświęcenie takie uważano nie mrówczą pracę około odbudowy ruin, dawnemi klęskami spowodowanych, lecz — zapał i gotowość do przebicia muru głową własną, lub też brawurę rzucenia się z kijem w ręku na zionące ogniem paszcze armat....

Nazwiska: Leona Frankowskiego, Symeona Rapackiego, Józefa Łazowskiego, Jana Rzeszotarskiego i Grabowskiego i wielu, wielu innych zarejestrowały się w katalogu takich szlachetnych lecz nierozważnych ofiar młodzieńczego animuszu. Wszyscy oni legli na placu boju i skromny krzyżyk nie znaczy nawet kresu ich wędrówki doczesnej. Ocalał jedynie ten, który łącząc pogardę śmierci, z żądzą czynów rycerskich, obudzoną pod wpływem pieśni wieszczów epoki romantycznej, pospieszył wprost z ławek szkólnych, do Cuneo, by odbyć studya przygotowawcze do żołnierskiego zawodu i przywództwa kup zbrojnych, planowanych już wówczas (w r. 1860) na wypadek zamętu wojennego w Europie...

Odświeżyły się wszystkie owe wrażenia i wspomnienia przeszłości w poufnej gawędzie, która po nabożeństwie odbyła się za miastem za skromnym stołem biesiadnym.

Przypomniano sobie „Metamorfozy“ Kraszewskiego, w których zebrani po latach wielu towarzysze szkólni opowiadają przebyte życia swego koleje.

Za ich przykładem i gromadka, o jakiej mowa, wysłuchała opowieści szarego żywota każdego z obecnych. Gdy przyszła kolej na Romana, wszyscy z zaciekawieniem wysłuchali odysei jego życia i, dzięki wynurzonej prośbie, dał się opowiadający nakłonić do ujęcia swej relacyi w formę luźnego, dorywczo spisanego pamiętnika, który, jako autentyczny przyczynek do historyi zaczątków ruchu zbrojnego z r. 1863, trzymany w tonie ściśle przedmiotowym, bez cienia fanfaronady, a przytem jako zawierający charakterystyczne szczegóły lekkomyślności, nierozwagi i karkołomnych rzutów młodzieńczego zapału ówczesnego pokolenia, nie będzie bezwątpienia obojętnym dla przyszłych owego nieszczęsnego ruchu dziejopisów.

1.

....Z kraju odebraliśmy rozkaz: „Wracajcie! bo czas się zbliża....“ Wyjechaliśmy więc z Zygmuntem Padlewskim z Paryża, przez Berlin (gdziem się po raz ostatni spotkał z Józefem Narzymskim) do Warszawy. Padlewski pojechał przez Poznań i Kraków, ja zaś przez Toruń, gdzie miałem wręczyć list powierzony mi przez generała Wysockiego — Gutremu i porozumieć się w paru sprawach z Saladyckim, obywatelem z pod Torunia, bardzo podówczas w sprawie czynnym.

Zjechaliśmy się z Padlewskim w Warszawie, dnia 15 października 1862 roku. On pozostał w stolicy, ja zaś zostałem przez ówczesny Komitet Centralny zamianowany komisarzem województwa Podlaskiego, do którego były zaliczone powiaty: Bialski, Siedlecki, Łukowski i Radzyński. Przedtem agentem komitetu w owem województwie był Edward Lisikiewicz, student uniwersytetu Kijowskiego, kolega Ignacego Chmie-

połowy rodu ludzkiego w dopuszczeniu jej do studyów: były tam bojowniczki, sprowadzające kwestyę wyzwolenia kobiet do rozpowszechnienia tanich kuchen i zupy rumfordzkiej.

Obok Panny Heleny Lange, patrzącej na kwestyę emancypacyi wyłącznie ze stanowiska karyery, występowała pani Cauer, była współpracowniczka pani Giżyckiej, kobieta o szerszych poglądach społecznych. Giżyckiej nie było, gdyż spaliła za sobą zupełnie mosty ruchu kobiecego. Wiceburmistrz miasta, zaproszony wraz z policmajstrem, przywitał w imieniu miasta delegatki. Panna Schmidt, prezydentka Związku, nakreśliła rozwój Związku. Powstanie swoje zawdzięcza on inicyatywie dam, które przedstawiały Niemcy na konkresie kobiecym w Chicago. Agitacya sprawy kobiecej datuje się już od lat 30. „Powszechne stowarzyszenie kobiece“ wystawiło hasło równouprawnienia, formulując je w duchu nieco idealistycznym. Wkrótce powstał szereg innych stowarzyszeń o bardziej praktycznym i poziomym charakterze. Nowe i stare utworzyły dwa związki, które współzawodniczyły z sobą dopóty, póki nie podały sobie rąk dla wspólnej działalności. Co dwa lata jeden z nich zwoływał kongres, w którym i drugi brał udział. Życie jednak zmuszało kobiety do zabierania głosu w różnych sprawach i podbijania nowych pól zarobkowych. Powstawały nowe stowarzyszenia. W ten sposób ruch kobiecy przedstawiał istną wieżę Babel. O porozumieniu się tych idących samopas grup nie mogło być mowy, dopóki wszystkie nie zlały się w jedną całość. Tej centralizacyi dokonały delegatki, powracające z kongresu kobiecego w Chicago. Powstał „Związek stowarzyszeń kobiecych“, organizacya mająca na celu wogóle podniesienie materyalnego i duchowego poziomu kobiet. Pani Cauer zaznajomiła kongres ze swą działalnością w założonem przez siebie stowarzyszeniu pracownic handlowych w Berlinie. Dużo trudów i funduszów pochłania wyszukiwanie pracy pannom. Przy stowarzyszeniu istnieją szkoły wieczorne o 4 klasach. W ten sposób konkurencya z mężczyznami jest ułatwiona. Kasa dla chorych ze swemi lekarkami roztacza pieczę nad zdrowiem pracownic, do czego przyłącza się dom dla rekonwalescentek i letnie kolonie. Dla rozrywek stowarzyszenie urządza przedstawienia teatralne i koncerty; członkinie utworzyły również kluby cyklistek, wioślarek i gimnastyczny. Pani Schwerin starała się dowodzić, iż sprawa zarobku stoi obecnie na czele wszystkich t. zw. kwestyj kobiecych. To dało jej pochop do zaznajomienia zebrania ze smutnemi wynikami, które otrzymano przez ankietę sądu przemysłowego w Berlinie podczas bezrobocia konfekcyonistek.“ Gdyby rolę sędziów, stawiających pytania, powierzono kobietom, wyszłyby na jaw o wiele smutniejsze jeszcze rzeczy. „Ile pani zarabiasz?“ — pyta sędzia jednej z pracownic. „Sześć marek tygodniowo“ — brzmi odpowiedź. — Z tego odchodzi jeszcze na nici.“ — „Jakże pani z tego możesz się utrzymać?“ Milczenie. Pani Schwerin wyraziła swe zadowolenie z tego, że kobiety zażądały w ostatnich czasach wprowadzenia inspektorek fabrycznych. Kilka państw niemieckich zgodziło się na to. Reszta opiera się jeszcze, lecz nie może postawić zasadniczych zarzutów. Rząd wydelegował komisyę do Anglii dla zbadania rezultatów działalności inspektorek fabrycznych. Pani Simson wystąpiła przeciwko temu, że komisya starała się wprowadzić w błąd sfery miarodajne fałszywemi relacyami. Z oburzeniem odparto zarzut, stawiany kobietom, jakoby żądając wprowadzenia tej instytucyi, chciały rozszerzyć pole karyery dla niewiast. Również zaznaczono, iż cała ta instytucya chybia celu, jeżeli inspektorka fabryczna zajmuje stanowisko pośrednie między robotnicą a inspektorem fabrycznym. Związek zgodnie z tem wystosował petycyę do rządu. Kongres, jak widzimy, skupił swą uwagę na zagadnieniach praktycznych; o zasady nie polemizowano. Z różnych przedmiotów poruszonych jeszcze, zwrócę uwagę na „Stowarzyszenie obrony prawnej kobiet,“ istniejące od $2^1/_2$ roku w Dreznie. Stowarzyszenie to posłużyło za wzór do dwu podobnych instytucyj, założonych w Berlinie i Austryi i mających na celu zarówno oświecenia kobiet w kwestyach prawnych, jak pomoc prawną dla potrzebujących. Wychodząc z trafnego psychologicznego spostrzeżenia, iż kobiety niechętnie wtajemniczają mężczyzn w swe sprawy, stowarzyszenie złożyło działalność w ręce kobiet. Przyjmują zwykle 3 damy. Jedna zadaje pytania, druga prowadzi protokół, trzecia robi notatki dla adwokata. Zebrano olbrzymi materyał rzucający światło na prawne upośledzenie kobiet. Stowarzyszenie stało się podobno postrachem na niegodziwych mężczyzn. Pani Stritt, która referowała w tym przedmiocie, starała się zilustrować znaczenie instytucyi anegdotą. Pijak mąż, będąc w stanie nietrzeźwym, znęcał się zwykle nad żoną. Ta w rozpaczy zagroziła, iż zwróci się do „Stowarzyszenia obrony prawnej kobiet.“ Usłyszawszy to, mąż pada na kolana i przysięga nie brać nigdy do ust gorzałki. Żona cofnęła swój zamiar, a mąż dotrzymał słowa i stał się wzorowym małżonkiem!“

H. F.

TO I OWO.

Ks. Helena Czarnogórska.

O księżniczce Helenie Czarnogórskiej pisze „Corriere della Serra“ z okoliczności zapowiedzianych zaręczyn z następcą tronu włoskiego: Księżniczka Helena, piąte z rzędu dziecko, trzecia z córek księcia Czarnogórskiego, liczy obecnie 24 rok życia i odznacza się nadzwyczajną urodą. Gdy król Humbert poznał ją w ubiegłym roku w Wenecyi, piękność jej i wdzięk wprawiły go w zdumienie. Pierwsze pogłoski o zaręczynach księcia Neapolu z księżniczką Heleną pojawiły się na wiosnę roku zeszłego. Spotkanie królewskiej pary z młodą księżniczką nastąpiło rzeczywiście w dniu 25 kwietnia z 1895 r. w Wenecyi, dokąd para królewska udała się na otwarcie międzynarodowej wystawy sztuki. Bawiące tam podówczas księżna Milena z córkami, złożyły wizytę królowej, która od pierwszej chwili nadzwyczaj je polubiła. Zwracało podówczas ogólną uwagę, iż przy wszelkich wycieczkach król stale towarzyszył księżniczce Helenie, podawał jej ramię, rozmawiał z wielkim

---

lińskiego. Mieszkał z matką w Zburzyniu pod Siedlcami, gdzie była ich rodzinna wioska. Brat starszy trzymał pocztę, szwagier zaś Lisikiewicza, Jan Matliński, także przy matce mieszkający, czynny brał udział w organizacyi ówczesnej.

Przyjechawszy w Podlaskie zastałem organizacyę tajną jeszcze w zawiązku. Szło więc o to, by ją rozprzestrzenić, rozpowszechnić między szlachtą zaściankową, tak w Podlaskiem liczną, i wciągnąć do niej mieszczan, służbę dworską, a lud wiejski przedewszystkiem. Trzeba więc było zszeregować pojedyńczych ludzi, rozlokowanych po różnych punktach, w gromadki, poznać ich ze sobą i wskazać dalszy sposób działania.... Pierwsze takie zebranie, złożone z członków organizacyi z czterech powiatów, odbyło się w Łosicach, u doktora Czarkowskiego, niezmiernie ruchliwego działacza. (Rozstrzelanym został następnie w Siedlcach, niedługo po ślubie z młodą, inteligentną kobietą, która z rozpaczy po stracie męża dostała pomięszania zmysłów....)

Nastąpiły na owem zebraniu wybory członków do rozmaitych urzędów organizacyi. Wojewodą Podlaskim został Bronisław Deskur. Naczelnikami powiatowymi cywilnymi zamianowani: Siedleckiego powiatu — Jan Matliński, Łukowskiego — słynny ksiądz wikary Brzoska (następnie dowódzca oddziału, ujęty w Łędzie i rozstrzelany), Radzynskiego — Zieliński, obywatel, Bialskiego — ówczesny pomocnik Naczelnika powiatu N.

Od nich zależało dalsze wyznaczanie setników i dziesiętników. (System dziesiętny był przyjętym w organizacyi.) Do zbierania funduszów na każdy powiat wybranym był poborca.

Wtedy właśnie nakazanem było przez Komitet Centralny ogólne opodatkowanie kraju. Na pobierane pieniądze wydawano kwity, których numera ogłaszano w piśmie ówczesnem podziemnem „Ruch“, organie Komitetu Centralnego. Redakcya owego pisma mieściła się przy ulicy Widok pod nr. 11. w mieszkaniu pani Heinrich, ciotki Bronisława Szwarcego, (Le Noir).

Szwarce był młodzieńcem inteligentnym, inżynierem, synem emigranta. Służył na kolei Warszawsko-Petersburgskiej, w kompanii francuzkiej. Aresztowany został w grudniu 1862 r. przy wykryciu drukarni „Ruchu“, za pośrednictwem policyi francuzkiej, która wówczas była w zupełności oddaną usługom rządu rosyjskiego, aresztując osobistości podejrzane Polaków w Paryżu.

Główne swoje locum usadowiłem w Białej, skąd dojeżdżałem do swoich powiatów. W Białej był podówczas proboszczem ks. Mleczko, u którego zamieszkałem. Czas schodził szybko, wypadki gromadziły się, zapowiadając rychłą burzę. Organizacya postępowała bystro. Wszyscy owiani byli duchem zapału i garnęli się do roboty. Mieszczaństwo po miasteczkach, szlachta zaściankowa, czeladź dworska — wszystko to stanowiło jednę zwartą falangę. Lud jedynie był oporny, nie okazywał zapału i wyczekiwał dalszych wypadków....

II.

W ciągu tych kilku miesięcy, w województwie podlaskiem pracowano gorliwie nad przygotowaniem umysłów do wspólnego działania. Ważnym tu czynnikiem był zjazd księży katolickich w Maciejowicach, na którym, jak to miało już miejsce na Zjeździe w Sandomierzu, duchowieństwo jednomyślnie uznało władzę Komitetu Centralnego, z którego ramienia delegowanym był Jan Majkowski. Drugim takim Zjazdem, nierównie donioślejszego dla województwa podlaskiego znaczenia, był urządzony przezemnie zjazd księży unickich. Odbył się on dnia 22-go grudnia 1862 r. w klasztorze Paulinów (następnie zniesionym) we wsi Leszno o 10 mil od Biały odległej.

O zjeździe tym mało kto wiedział w Warszawie, oprócz Zygmunta Padlewskiego, Oskara Awejde i Stefana Bobrowskiego. Nigdzie o nim nie wspominają, nawet Gillerowi zjazd ów jest nieznany, a przecież było na owym zjeździe 150 księży unickich, ludzi biednych, jakimi w ogóle byli w tę porę parochowie uniccy, i wszyscy oni złożyli przysięgę na wierność rządowi narodowemu i wspólność pracy i poświęcenia, którego też później oczywiste złożyli dowody.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ożywieniem i witał i żegnał nadzwyczaj serdecznie. Rychło książęca rodzina Czarnogórska przyjmowała udział nietylko w uroczystościach urzędowych, lecz i zebraniach rodzinnych na dworze królewskim. Największe zwycięstwo święciła piękność księżniczki Heleny na galowem przedstawieniu w teatrze „Fenice“, gdzie zasiadała w loży dworskiej przy boku królowej. — W wielkiej liczbie obecni artyści unosili się nad idealną, płomienną pięknością księżniczki, która w skromnej różowej sukience ściągała na siebie oczy wszystkich. Zauważono też wówczas ogólnie, iż książę Wiktor Emanuel nie spuszczał wzroku z pięknej księżniczki.

* * *

Spotkanie Nansena z „Framem.“

Spotkanie Nansena z „Framem“ było bardzo serdeczne. Sverdrup, zastępca Nansena na okręcie, myślał, że Nansen wraz z Johansenem zginął, gdyż mimo, że przez lody parł ustawicznie z „Framem“ na północ, nigdzie nie znalazł nawet śladu Nansena. Kiedy więc „Fram“ przybył do portu na Skjarvö i dowiedziano się tam, że Nansen zdrowo powrócił, zapanowała na pokładzie „Frama“ ogromna radość, połączona ze zdumieniem. Swerdrup natychmiast zatelegrafował do króla Oskara i do Nansena z Hammerfestu, donosząc o swem przybyciu. Powitanie Nansena z załogą „Frama“ było niesłychanie serdeczne. Ludzie otoczyli go z płaczem i puścić go z objęć nie chcieli. Nansen każdemu z osobna dziękował a pocałunkom jego z Swerdrupem końca nie było. Dodać należy, że „Fram“ od tej sekundy, kiedy się na jego pokładzie dowiedziano, że Nansen żyje i powrócił, na znak radości przystrojony został w flagi, wieńce, festony i tak oczekiwał przybycia swego dowódcy.

Jak wiadomo Nansen plan swój oparł na przypuszczeniu, że istnieje prąd, który przez biegun przechodzi na drugą półkulę. Na istnienie takiego prądu naprowadził fakt, że na wybrzeżach wschodniej Grelandyi znajdowano kawałki drzewa syberyjskiego a przedewszystkiem to, że na lodach tamtejszych znaleść miano przedmioty z wyprawy biegunowej okrętu „Jeanetty“ który wypłynąwszy od strony Syberyi rozbił się w lodach. Wśród tych przedmiotów główną rolę grały spodnie jednego z majtków „Jeanetty“ niejakiego Norosa, który wyjątkowo ocalał. Otóż teraz obiega pogłoska, że odnalezienie owych spodni redukuje się do prostego marynarskiego żartu. Mianowicie Noros należał do amerykańskiej wyprawy ratunkowej dla załogi „Jeanetty“, która składała się z czterech okrętów, a Noros płynął na pierwszym okręcie. Otóż majtek ten miał całkiem poprostu rzucić spodnie z okrętu na lód, a okręt następny znalazł je i sądził, że to prąd morski wraz z lodem przeniósł je przez biegun. Gdyby nawet jednak ta anegdota była prawdziwą, to przecież istnienie owego prądu jest faktem, którego dowodzi wyprawa Nansena i droga, jaką „Fram“ opisał w lodach podbiegunowych.

Jak z Tromsö donoszą Nansen planuje podróż do bieguna południowego. Wedle jego pomysłu wyprawa musiałaby się składać z dwu okrętów. Jeden miałby przezimować około wulkanów „Erebus“ i „Terror“, których dosięgła wyprawa Rossa w roku 1872, a drugi okręt miałby się puścić dalej ku biegunowi, mając po za sobą w tamtym rezerwę dla załogi na wypadek rozbicia.

* * *

Aforyzmy.

Juliusz Stettenheim pisze znów wesoło. Oto: Największem złem starości stała się okoliczność, że wierność przestała być cnotą. — Gracz mówi: „Jeden musi przecie wielki los wygrać“. Ale wygrywa zawsze drugi. — Małe rączki kobiet trzymają silniej, niż wielkie. — Aby ci wzlecieć na szyję, nie potrzebuje kobieta być motylkiem. — Kto długo pościł, rad ugryzie wszystko. — Jak wiele dróg przebyć musi człowiek, który swoją drogę chce odbyć! — Wiele kobiet nie użycza nam swego ucha dlatego, bo drogie zdobią je kolczyki. — Kto nie słyszy tego, co nie zostało wymówionem, widzi źle. — Są kobiety, które najchętniej ustępują przed gwałtem, kierowanym wcale nie do nich. — Głupcy zmieniają się tylko na korzyść swych krawców. — Istnieje rodzaj wielomownej dyskrecyi. — Gdy raj utracił ludzi, stał się biedniejszym od ludzi, którzy raj utracili. — Woda wciska się do suteryn, wino na pierwsze piętra. — Niejeden zawaha się z powodu nadmiernej grzeczności, by dobry dać przykład. — Dziś nie wiemy właściwie, co cierpliwsze: papier, czy płótno. — Dziewczyna, co się boi, by jej ukochany nie ukochał innej, nie wie najczęściej, że ona jest tą inną. — Kobieta, która odmawia, obiecuje.

Na Wyłomie.

(Słówko o „godności narodowej“.)

Są wielkie słowa, które jak monety długo w obiegu będące brudzą się, wycierają i w blaszki pogięte zmieniają. Na targach politycznych frymarczą niemi handlarze, przybijają na sklepikach jako szyldy nęcące i lepią na butelkach win fałszowanych jako etykiety uł udne.

Religia? ileż to namiętności nizkich, ile spekulacyi finansowych, ile intryg partyjnych osłaniano tem słowem?

Honor? Lampart uliczny uwodzi żonę uczciwego człowieka, zabija go w pojedynku i stąpa dumnie po salonach jako Donżuan rycerski, strzegący z pistoletem w ręku praw galanteryi. Uwiódł żonę, zabił męża, — honorowi stało się zadość.

A „godność narodowa“? W walkach politycznych ostatniej doby wielkie to słowo było nieraz przedmiotem drwin jadowitych ze strony galicyjskich i poznańskich Stańczyków. Ten zgrzyt ironii wciąż się jeszcze odzywa i stał się sportem formalnym w takim Czasie, Kraju i Kuryerze Poznańskim. Czyżby owa „świętość“ spadła istotnie tak nizko w cenie, że jak pierwszej lepszej tandecie z jarmarku wolno jej rzucać pogardę? Bolesne to, a przecież zaprzeczyć nie można, że ten sarkazm stańczykowski, ścigający śmiechem swojem „godność narodową,“ nieraz po swojej stronie miał słuszność i prawdę, bo pajace polityczni ściągali ją często w arenę cyrkową i jak czapeczkę błazeńską sadzali na głowie. Każdy wybryk politycznego szaleństwa strojono tym szyldem błyszczącym, każdy poryw histerycznej wrażliwości krył się za niego, jak za parawan wygodny, i niejeden program bez myśli maskował próżnię swoją tą szeroką suknią. Lecz gdy się wsłuchamy uważniej w świst bicza stańczykowskiego nad wielkiem słowem, spychanem tak często w krainę niebezpiecznego frazesu, to wpadniemy na ślad intencyi innej, godzącej nie tylko w karykaturę „godności narodowej,“ lecz zmierzającej ku zupełnemu wymazaniu tego wyrazu z słownika politycznego. „Potrójny lojalizm“ zrozumiał dobrze, że program abdykacyi w proch się rozsypie, spotkawszy na drodze swojej to potężne uczucie dumy, które protestu narodowego do muzealnych zabytków nie składa i w zrozumieniu doniosłego znaczenia moralnych podstaw egzystencyi naszej, odpycha wybujałą służbistość, płacącą kornym ukłonem za wszelkie krzywdy i przyjmującą z uśmiechem rezygnacyi najniebezpieczniejszy manewr polityczny, jeżeli na nim błyszczy stempel gabinetów królewskich, watykańskiego „Roma locuta,“ lub kancelaryi biskupich. Z właściwą więc ugodowym dyplomatom zręcznością postanowiono wyzyskać częste nadużycia, których szowinizm polski dopuszcza się na hasłach „godności narodowej,“ by całe pojęcie podać w pośmiewisko i, jako rzecz bezwartościową, rzucić na śmiecie. Walka rozpoczęła się pręgierzem dla wszelkiej nadezuło ści politycznej, lecz wkrótce posłano pod pręgierz i umiarkowaną, niczem niesfałszowaną dumę narodową. Gdziekolwiek wymówiono ten wyraz, wnet rozbrzmiewały drwiny stańczykowskie, a tam nawet, gdzie go nie wymówiono, lecz zaprotestowano w imię najrealniejszych interesów społecznych przeciw tej lub owej krzywdzie politycznej, zjawiali się satyrycy ugodowi z stereotypowym uśmiechem: „Naturalnie! znów „godność narodowa“ deklamuje.“

Nie szukam daleko przykładów, — chwytam zdarzenie najświeższej daty. Gdy w znanej sprawie ks. Bartscha ks. arcybiskup Stablewski wysłał pamiętne monitum kanoniczne i skłonił „obżałowanego“ kapłana do publicznej pokory wobec Niemców, kilka pism demokratycznych wyraziło, bądź to otwarcie, bądź w dyplomatycznych półsłowach, przekonanie, że wyrok arcypasterza rzuca cień nieufności na stosunek narodu do Kościoła i staje się dla kleru wyraźną wskazówką, by polskie duchowieństwo strzegło się manifestowania patryotyzmu swego i oddziaływanie na lud w kierunku narodowym skreśliło z życiowego programu. — Opozycya zastanawiała się głównie nad dysproporcyą winy i kary i w tej dysproporcyi upatrywała słusznie niebezpieczny zamach polityczny. Godząc się bowiem nawet i na to, że list ks. Bartscha zawierał pewne formalne uchybienia, trudno zrozumieć tę niezwykłą surowość władzy biskupiej, dyktującą kapłanowi publiczną pokutę. Nasunąć się zatem musi przypuszczenie, że „tumska polityka“ wyzyskała drobnostkę dla jaskrawego zamanifestowania swych uczuć lojalnych w obec rządu pruskiego, nie bacząc, jaki wpływ demoralizujący postępowanie takie wywierać musi na kler i społeczeństwo polskie. Protestowano zatem ze strony demokratycznej w imię najrealniejszych, prostą logiką podyktowanych interesów politycznych, nie wysuwając nigdzie pustych deklamacyi nerwowego szowinizmu, a mimo to znany korespondent poznański do „Kraju“ petersburskiego zaśmiał się znowu zwietrzałym frazesem na temat „godności narodowej: „Prasa ludowa — mówi on — ze sprawy ks. Bartscha kuje broń przeciwko żywiołom umiarkowanym: władza duchowna potępiła księdza „patryotę“, więc obrażoną została „godność narodowa.““

Wyraz „patryota“ w cudzysłowach, „godność narodowa“ w cudzysłowach! To ironiczne przedrzeźnianie stało się metodą. Dziś już nie histeryą polityczną, nie sentymentalny liryzm wielkich haseł stroją w dzwonki poliszynelów, lecz każde drgnienie opozycyi przeciw lojalizowaniu społeczeństwa staje się tematem drwin pospolitych dla ugodowych kuglarzy. Godność narodowa? Nadużywano tak często tego słowa, więc łatwo rzucić je na pastwę śmiechu, łatwo wmówić w społeczeństwo, że to dźwięk

bez treści. O to wam chodzi panowie z „Kraju“, „Czasu“ i „Kuryera“! Wasz program trzech abdykacyi i trzech lojalizmów, wasze „padam nóg“ przed każdą koroną, tiarą i infułą, bez względu na jej intencye polityczne wobec społeczeństwa polskiego, może królować jedynie na gruzach godności narodowej, — nietylko tej, którą szowinizm sfałszował, lecz i tej zdrowej i umiarkowanej, na której każda rozumna polityka opierać się musi. Zgaście to uczucie, a żadna sztuczka dyplomatyczna nie ocali narodu przed zagładą. Polak zginie, zostanie tylko „po polsku mówiący Prusak, Rosyanin i Austryak“ — zostanie społeczeństwo karyerowiczów, dworaków i zjadaczy chleba.

Sulla.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Trzeba mówić *zadowolony. zadowolic, zadowolenie*, ale nie *zadowolniony, zadowolnić, zadowolnienie*. bo wyrazy te nie pochodzą od *wolny*, ale od *wola*.

— W jednym z tygodników warszawskich czytaliśmy niedawno filipikę przeciwko używaniu *gdzie*, zamiast *dokąd*, *przytomny*, zamiast *obecny* itp. Szanowny autor grzeszy tu pedanteryą i przesadą, wymagając stosowania prawideł logiki do mowy. Żywy język jest *sui generis* sztuką i drwi sobie często z logiki, matematyki i innych nauk ścisłych; mówimy i mówić będziemy: *większa połowa*, *gdzie* pędzisz, kozacze ....i tym podobne herezye logiczne, które w mowie żywej a obrazowej wcale herezyami nie są, dodając jej owszem barw i siły. Co się zaś tyczy wyjaśnienia *osnowy i wątku*, to właśnie autor popełnia „*gui pro quo*“, objaśniając rzecz nawspak: *osnową* są nici *osnute* na krosnach, a *wątkiem* jest nić, *wtykana* czółenkiem w osnowę, i dlatego tak się nazywa.

— Przez wpływ języków obcych, mianowicie niemieckiego i francuskiego, zdarza się u nas błędne używanie zaimków dzierżawczych, mianowicie: Niepotrzebnie szafujemy niemi tam, gdzie zwyczaj językowy nakazuje je opuszczać, co szczególnie daje się słyszeć na scenach, w sztukach tłumaczonych z języków obcych; błędnie więc mówimy: Alfred zapiął *swój* paletot, odwiedziłem dziś *mojego* ojca, zabierz *swój* kapelusz itp., zamiast: Alfred zapiął paletot, odwiedziłem ojca. zabierz kapelusz itp.; w razach podobnych zaimek wtedy tylko jest potrzebny, gdy wypada go wymienić z pewnym naciskiem dla uniknięcia dwuznaczności.

— Grasuje u nas skłonność do zastępowania 6-go przypadku dodawaniem przyimków do rzeczownika; coraz częściej słyszymy: „Jechał po drodze...,“ „dowiódł przez rozumowanie...,“ „ukarany został przez niepokój...,“ tłumaczył się przez niewiadomość...“ zamiast: „jechał drogą,“ dowiódł rozumowaniem,“ „ukarany został niepokojem,“ tłumaczył się niewiadomością“ itp. itp.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Wśród świeżo zaangażowanych przez p. E. Rygera artystek znajduje się także p. J u t k i e w i c z-Wolska (wydział ról liryczno-dramatycznych). — Czteroaktowy utwór Pawła Lindaua pt. „Pierwsza“, wystawiony w Lipsku, doznał fiaska. Wybrać tezę lub wypadek sensacyjny, przyczepić do niej kilka efektownych lecz nieprawdopodobnych sytuacyi, nie znaczy jeszcze napisać dramat. Prawdy tej doświadczył na sobie krytyk Lindau, który jednakże sam siebie krytykować nie potrafi. Lindau miał w sztuce na celu zaatakowanie prawa, udzielającego rozwodu z chorą i niepoczytalną żoną i zezwalającego jednocześnie na zaślubienie drugiej za życia pierwszej. — Towarzystwo p. Wołowskiego z Łodzi, goszczące chwilowo w Warszawie, udaje się na 11 przedstawień do Kielc. — Druga serya przedstawień w Baireuth cieszyła się dobrem powodzeniem, a p. Cosima Wagner odkryła nowego „cudownego“ tenora, Karola Kienlechnera, młodego kowalczyka z Bozen. — Poeta Gomano Sciava opracował Hauptmanowskich „Tkaczów“ na libreto dla Mascagniego. — Mistrz Verdi bawi od niedawna w Medyolanie — gdzie często schodzi się z przyjacielem swoim Arrigiem Brito i jego bratem Kamilem, który prowadzi budowę internatu imienia Verdiego dla artystów. Niedawno otrzymał od córki hotelisty, gdzie mieszka, piękną lirę. Podziękował jej: „Vi ringrazio, caro Olga; vostra lira vale piu che la mia; quella e spezzata e non ha piu corde. (Dziękuję pani bardzo, miła Olgo: lira pani więcej warta, niż moja; ta już złamana i strun więcej niema). Nie wierzą atoli, by lira mistrza już na zawsze zamilkła — spodziewają się jeszcze niejednego po nim dzieła, choć Verdi już 85 lat liczy. — Maryan Gawalewicz skarży się w „Kraju“ petersburskim, że reporterzy teatralni bałamucą publiczność. Oto jego słowa: Prasa nie może się obejść bez informacyi zakulisowych, to prawda, ale w ostatnich latach reporterya steroryzowała krytykę, bałamucąc publiczność przesadną reklamą, która zużyła już cały słownik superlatywów w codziennych wzmiankach, pozbawionych wszelkiej miary krytycznej i znawstwa; zaczęła nawet fałszować cyfry dla wyszrubowania sukcesu pewnych sztuk i pewnych teatrzyków. podając w druku podwójną, a nawet potrójną ilość widzów w ogródkach. Publiczność czyta, że ten lub ów teatr był przepełniony, że artyści grali przewybornie, że widzowie zanosili się od śmiechu, że sztuka ma rosnące powodzenie, że teatr trząsł się od oklasków, a tymczasem w teatrze były pustki i nudy, a na scenie gorzej grano, niż na premierze. Reporterya zaciera ręce i tryumfuje, że czytelników za nos wodzi.

* * *

— **Gimnazyum żeńskie w Krakowie.** Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy komunikat następujący:

Towarzystwo szkoły gimnazyalnej żeńskiej uorganizowało się na zasadzie statutu zatwierdzonego reskryptem Wys. C. K. Namiestnictwa z 5 czerwca 1896 r. Celem Towarzystwa jest założenie i utrzymywanie w Krakowie, a w miarę środków także i w innych miejscowościach szkoły żeńskiej z programem, któryby umożliwił otrzymanie świadectwa dojrzałości w jednem z gimnazyów austryackich lub także złożenie egzaminu kwalifikacyjnego na nauczycielkę w mającej powstać wyższej szkole wydziałowej.

W miarę środków może Towarzystwo utrzymywać dla uczennic, a wedle uznania także dla członków bibliotekę i czasopisma i również może urządzać wykłady nie wchodzące ściśle w zakres programu gimnazyalnego za uczynieniem zadość wymogom przepisanym przez ustawę (§ 3 statutu).

Członkowie zwyczajni płacą rocznie 12 złr., członkowie wspierający rocznie 25 złr., — członkowie założyciele jednorazowo 100 złr.

Obecnie zajmie się Towarzystwo przedewszystkiem urządzeniem pierwszej klasy żeńskiej średniej w Krakowie, na którą zezwolenie władz szkolnych otrzymali prof. Bujwid, prof. Cybulski i radzca szkolny Trzaskowski.

Tymczasowy Zarząd Towarzystwa stanowią: prof. Ernest Bandrowski, prof. Odo Bujwid. prof. Napoleon Cybulski, dr. Adolf Gross, prof. Kazimierz Zórawski, radca szkolny Bronisław Trzaskowski i p. Marya Wiśniewska.

Jako członkowie założyciele przystąpili dotychczas z wkładką jednorazową 100 złr.: 1) Stowarzyszenie pomocy naukowej dla polek im. Kraszewskiego, 2) prof. Bujwid Odo. 3) prof. Bujwidowa Kazimiera. 4) prof. Cybulska Julia, 5) dr. Gross Adolf, 6) radca Trzaskowski Bronisław.

Jako członkowie zwyczajni z wkładką 12 złr. rocznie przystąpili: 1) dr. Boroński Lesław, 2) p. Dydyński Henryk, 3) p. Hopcas Józef, 4) dr. Kański Mikołaj, 5) prof. Kostanecki Kazimierz, 6) p. Machczyńska Antonina, 7) prof. Mars Antoni, 8) p. Rogoyski Witold, 9) prof. Walentowiczowa, 10) p. Wiśniewska Marya.

Jako członek wspierający z wkładką 25 złr. rocznie przystąpił dr. Holzer Gustaw.

Wkładke jednorazową złożyli: Kasa Oszczędności we Lwowie 25 złr. Doc. dr. D. 20 złr.

Dalsze zgłoszenia na członków przyjmują prof. Napoleon Cybulski (przewodniczący) Szczepańska 11 i prof. Odo Bujwid, Kolejowa 3.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. w Gnieźnie. Jedne lekcyę uważamy za wystarczającą i dalej na niezręczne wierzganie „Lecha“ zważać nie będziemy. Przeciwników takich raz po raz uderza się rózgą, lecz zrozumie Pan, że wojny z nimi się nie prowadzi. Zresztą, o cóż się tu sprzeczać? Czy w całym artykule „Lecha“ jest chociażby jeden argument, lub chociażby cień argumentu? Bezsilny, by bronić dawniejszych nonsensów, maskuje gnieźnieński dzienniczek swoją kompromitacyę całem szeregiem najbanalniejszych w świecie wymyślań i jakichś wygrażań szabelką... z drzewa. Nie ma to nic wspólnego z przedmiotem polemiki, a formą swoją jest tak nieudolne, tak pod względem literackim jałowe, tak niesmacznie nasrożone i wydęte, że najwłaściwszą odpowiedzią byłoby może przedrukowanie całego artykułu „Lecha“ bez wszelkich komentarzy w Przeglądzie. Żal nam jednak papieru i żal czytelników, którym pragniemy oszczędzić niesmaku, no i — francuszczyzny gnieźnieńskiego dziennika. „Lech“ bowiem nawymyślawszy się do syta na „togę uczoności“ w którą rzekomo Sulla ubierać się lubi, postanowił zadokumentować że i on, mosterdzieju! — także umie po francusku, i zebrawszy wszystkie prymanerskie reminiscencye oświadczył, że „ćma poznańska już k i l k a grubych dopuściła się „f a u t e s p a s.“ Oj! panie Lechu... s i t a c u i s s e s.

Ergo. Przekłady nadesłane nie kwalifikują się ze względu na treść drastyczną do publikacyi w piśmie naszem. Prosimy o dokładny adres dla odesłania manuskryptu.

HUMORYSTYKA.

(A u t e n t y c z n e).

W ogródku przy kawie siedziało sobie trzech obywateli: doktór, kolonizator i streczarz.

Kolonizator: Widziałem też Pana Doktora w mundurze miedzy Sokołami w Urbanowie. Co prawda, nie myślałem......

Doktór: Nie rozumiem Pana.... — dla czego?

Kolonizator: Jeżeli mam powiedzieć otwarcie, to dla tego nie spodziewałem się widzieć Pana w tem towarzystwie, bo Sokoły to socyaliści.

Doktór: Nie wiem o tem. Myślę, że Pan nie mówisz tego na seryo.

Kolonizotor (zaperzony): Słowo honoru, na seryo, słyszałem jak oczerniali szlachtę, że wsie kolonizacyi sprzedaje, majątki marnuje, z hakatystami biesiaduje itp. wygadują na nią historye.

Streczarz (do kolonizatora). Milczałbyś lepiej.

Doktór (z uśmiechem): Ha! Kiedy tak, to mnie Pan w ich towarzystwie już nie zobaczy.

Kolonizator (z radością): Doprawdy!

Doktór: Tak, bo widzi Pan, na przyszłych wystepach Sokołów wstep kolonizatorom będzie wzbroniony. — Żegnam Panów. (Odchodzi, a stręczarz wyłupiwszy oczy na kolonizatora, puka palcem w czoło). —

* * *

(K o n j u g a c y a „ł a d u i p o r z ą d k u“).

Ja znakomity, ty znakomity, on znakomity, my znakomici, wy znakomici, oni znakomici.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28